

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego

Powiew Weny

Wejherowski Konkurs Literacki

Pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2007

Drodzy Czytelnicy

To już druga edycja konkursu literackiego organizowanego przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną w Wejherowie. W roku ubiegłym konkurs nosił nazwę „Czas należy do nas”. W tym roku nadaliśmy mu nazwę „Powiew Weny”, a słowa „Czas należy do nas” uczyniliśmy mottem konkursu. W ten sposób chcieliśmy zachować jego ciągłość a także dać sygnał lokalnym twórcom, że jest to dla nich kolejna szansa, zaproszenie i wyzwanie.

Przez całe lato panowała flauta literacka, ale we wrześniu już trochę powiało weną a spod skrzydeł Pegaza wypadło kilka piór i piórek, na które warto zwrócić uwagę. Może niedługo wyrosną z nich prawdziwe skrzydła dające świeży powiew lokalnej literaturze. Skoro na naszym twardym kaszubskim gruncie potrafili przebijać się tacy twórcy jak Drzeżdżon, Necel, Janke czy choćby Mastowska, to dla czego nie mieliby pojawić się inni. Ten konkurs jest właśnie dla nich.

Do drugiej edycji wejherowskiego konkursu literackiego napłynął obszerny zbiór tekstów: w sumie 22 prace napisane przez 18 autorów (w sumie 42 utwory). Dla porównania warto przypomnieć, że w ubiegłym roku tych prac było 11. Jest więc z czego się cieszyć zwłaszcza że w porównaniu do ubiegłorocznego konkursu, obecny zawierał więcej tematów optymistycznych.

Z lektury nadesłanych prac wynika, że każdy autor miał coś ważnego do powiedzenia, w jakiś sposób zaznaczył swoją obecność i osobowość twórczą oraz na swój sposób podzielił się własnymi przemyśleniami i spostrzeżeniami. To duże bogactwo przeżyć uczuć oraz inwencji twórczej. Zadawała poziom konkursu. Wszystkie prace są ciekawe i godne polecenia czytelnikom. Wiele z nich prezentuje dobry i wyrównany poziom literacki.

Zachęcam Państwa do przeczytania nagrodzonych, wyróżnionych i wybranych prac stanowiących pokłosie Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny 2007”. Życzę miłej i mam nadzieję - ciekawej lektury.

Bogdan Tokłowicz

*Przewodniczący Komisji Konkursowej
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa*

W Y N I K I

Wejherowskiego Konkursu Literackiego **„Powiew Weny - 2007”**

Prace konkursowe oceniało Jury w składzie: Bogdan Tokłowicz - przewodniczący (zastępca prezydenta Wejherowa, nauczyciel), członkowie - Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), Eugenia Drawz (polonista), Olga Tomaszewska (radna miejska w Wejherowie, nauczyciel), Tomasz Fopke (naczelnik Wydziału Kultury i Spraw Społecznych Starostwa Powiatowego w Wejherowie, aktor) oraz Henryk Połchowski (redaktor prowadzący „Nowiny” - Biuletyn Informacyjny Urzędu Miejskiego w Wejherowie, polonista).

A - grupa do lat 19

PROZA

- 1 nagroda: nie przyznano.
 - 2 nagroda: nie przyznano.
 - 3 nagroda: Izabela Krawczyk - „MAEVE” (Wejherowo).
- Wyróżnienie: Karolina Rost - „Szafira” (Bolszewo).

POEZJA

- 1 nagroda: Izabela Jagła - „kwiat lotosu” (Gościcino).
 - 2 nagroda: Marcin Pelcer - „Koala” (Bałomino).
 - 3 nagroda: Karolina Rost - „Szafira” (Bolszewo).
- Wyróżnienie: Aneta Fuhrmann - „Somme thing_ else” (Bolszewo).

B - grupa dorosłych

PROZA

- 1 nagroda: Piotr Skurzyński - „Anteportas” (Gdynia).
 - 2 nagroda: Tadeusz Buraczewski - „Narew” (Reda).
 - 3 nagroda: Agnieszka Łebska - „Horowitz” (Wejherowo).
- Wyróżnienie: Elżbieta Budnik - „gda” (Wejherowo).

POEZJA:

- 1 nagroda: nie przyznano.
- 2 nagroda: Hanna Bemke - „Skolopendra” (Wejherowo).
- 3 nagroda: Maria Magdalena Grzesińska - „ARIANA” (Wejherowo).

Nagrody specjalne

dla prac spoza powiatu wejherowskiego
(przyznane poza konkursem) otrzymali:

- Piotr Biegasiewicz - „stopniowe zamierania krzyku” (Konin),
- Dominika Nowak-Adamczyk - „doDNA” (Kraków).

Dyplomy

za udział w konkursie otrzymali:

- Katarzyna Sawicka - „Wodnik” (Strzebielinko),
- Krzyszyna Labuda - „Jazdin” (Wejherowo),
- Sabina Potrykus - „Pomorzanka” (Bolszewo),
- Regina Adamowicz - „Mangan” (Koszalin),
- Łukasz Bieszke - „Siergiej” (Wejherowo).

Wstęp

W tegorocznym konkursie „Powiew Weny” najciekawiej zaprezentowała się proza dorosłych. Kilka utworów zdecydowanie wyróżnia się sprawnością stylistyczną, przejrzystą strukturą a przede wszystkim oryginalnością pomysłu i intrygującą fabułą. Zostały napisane z dużą dozą wyobraźni, poczuciem humoru i wyraźnie sformułowanym przesłaniem. Zarówno opowiadanie „Miguel i laleczka” Piotra Skurzyńskiego, jak i opowiadanie „Edisoniek” Tadeusza Buraczewskiego, wybijają się nad innymi utworami dojrzałością literacką i świadomością twórczą. To perełki tegorocznego konkursu. Podoba się również esej „W stronę krytyki fantomów” Piotra Biegasiewicza, ale nie można było go wziąć pod uwagę w konkursie, gdyż autor jest z Konina i nie wykazał żadnych związków z powiatem wejherowskim wymaganych regulaminem, czyli miejscem zamieszkania, pracy, bądź nauki czy studiów.

„Miguel i laleczka” to groteskowe opowiadanie z dreszczykiem i elementami surrealizmu, napisane w trzecioosobowej narracji czasu przeszłego z tzw. narratorem wszechwiedzącym. Posiada logiczną i spójną strukturę dynamicznie rozwijającą się akcję - osadzoną we współczesnych realiach, nakreślone rysy osobowości postaci oraz wartkie i cięte dialogi z trafnym wykorzystaniem żargonu młodzieżowego. Erudycja autora i „lekkie pióro” powodują, że opowiadanie czyta się jednym tchem. Główny bohater opowiadania Miguel tyranizowany w swoim środowisku przez silniejszego i przystojniejszego Leo Kowalsky'ego z ciekawości i bezsilności szuka pomocy w haitańskiej magii. Lepi ze smoły i słomy małą laleczkę, utożsamia ją z wrogiem i zadaje mu cierpienia poprzez nakłuwanie. Laleczka ożywa i obiecuje wypełniać polecenia Miguela stając się w jego rękach krwiożerczym i niebezpiecznym egzekutorem. I tak podczas wyścigu samochodów ginie najpierw Leo Kowalsky, później znany mafiozo i kolejno inni, a w końcu nawet prezydent Iraku Sadam Husajn. Miguel zdaje sobie sprawę z ogromu zawinionych śmierci, postanawia uwolnić się od laleczki i ucieka w nieznaną.

Niezwykle interesujące opowiadanie pt. „Edisoniek” Tadeusza Buraczewskiego oparte jest na niekonwencjonalnym pomysle. Przebywający nad jeziorem bohater opowiadania AlVT łapie ryby dla swojej kotki i jednocześnie uczestniczy w czacie prowadzonym ze swojego laptopa. Autor ze znajomością wędkarskiego hobby i elementami poetyki opisuje pobyt na wodą. W trakcie z rozmowy z kobietą o imieniu Bastet prowadzony jest dialog na

temat kultury, literatury i muzyki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego wieku. Wyjawia swoje fascynacje literackie swobodnie posługując się m.in. cytataми z Lermontowa. W przerwach między braniami ryb i czatem oddaje się też wspomnieniom z pracy zawodowej ukazując swoją szeroką wiedzę z zakresu techniki i architektury. Efektem czatu ma być spotkanie. Losowanie sprawia, że to Bastet ma go odnaleźć i odwiedzić. AlVT czeka. Niespodziewanie podczas ostatniego brania wędkarz wyławia „pełnokrwistą i uśmiechniętą wodnicę...” Jak pisze „*To mogła być tylko Bastet. Z resztą był 13 lipca 2007 roku i do tego piątek*”.

Ciekawą podróż w posępne zaświaty zaproponowała Agnieszka Łebska. Dość mocno zakręcone „Opowiadanie o chłopcu, który udał się w podróż na koniec świata” dotyka zagadnień eschatologicznych. Dzięki bogatej wyobraźni autorki przenosimy się w rzeczywistość za smugą cienia i śledzimy losy bohatera, który po śmierci, jakby w czyścicu, wypełnia zadaną mu misję. Świat przedstawiony w tym opowiadaniu ma pewne cechy życia ziemskiego i pełen współczesnych urządzeń wygląda jak po kataklizmie. Ludzie-dusze nadal funkcjonują w układzie hierarchicznym i dość łatwo poddają się biegowi wydarzeń jakby uznając, że takie mają przeznaczenie. Mimo to nie brakuje zaskakujących sytuacji. Opowiadanie zawiera mnóstwo detali i sygnałów, które choć stosowane konsekwentnie, nie są zbyt czytelne i nie łatwo określić ich sens. Ale być może autorce właśnie chodziło o podtrzymanie takiej ciekawości wobec pytań, na których odpowiedzi nie poznamy do końca.

Pokłosiem konkursu jest też proste w konstrukcji, a zarazem bardzo ciekawe opowiadanie o cechach pamiętnika pt. „Talizman” napisane przez Elżbietę Budnik. To zapis obrazu wejherowskich podwórek sprzed pół wieku, z opisem dziecięcych zabaw, sznurami suszącej się bielizny i koźmi na podwórkach. Autorka przez pryzmat własnych odczuć i doznań przypomina te realia. Takiego Wejherowa już nie ma. Z punktu widzenia historii i kultury Wejherowa, warto było pokusić się o zapis tych wspomnień.

W prozie młodych twórców pojawiły się trzy opowiadania. Jedno z nich Izabeli Krawczyk pt. „Czas należy do nas” dotyka problemu śmierci samobójczej, bądź przynajmniej próby jej popełnienia, w obliczu braku sił wobec nieuleczalnej choroby. To na pewno dobry temat do dyskusji nad bólem istnienia i zagadnieniami eutanazji. Autorka operuje skrótami myślowymi. W opisach świadomie wykorzystuje grę składnią ciekawie wplatając równoważniki zdań. Oprócz płynnej stylistyki literackiej podobać się mogą poetyckie analogie ciała ludzkiego do elementów wszechświata oraz refleksje nad wartością każdej chwili życia.

„Historia Pauliny” napisana przez Karolinę Rost zwróciła uwagę ze względu na łatwość autorki operowania dialogami. Opowiadanie jest trochę za długie i nieco przegadane, występującym bohaterom brakuje psychologicznego pogłębienia postaci, ale młoda autorka przez wielość szczegółów

pokazuje, iż posiada cenny zmysł spostrzegawczości. Dopracowania wymaga jeszcze konstruowanie akcji i dramaturgii wydarzeń. Ale budująca jest pointa, z której wynika, że bogaci ludzie, mimo iż czasem bywają próżni, potrafią w potrzebie okazać wielkie serce biednym i pokrzywdzonym. A tak dzieje się w przypadku Pauliny, której matka ginie w wypadku.

Ciekawe opowiadanie „Adriatyk” a także interesujące wiersze Dominiki Nowak-Adamczyk zostały pominięte przy ocenie ze względu na adres zamieszkania w Krakowie, ale prezentujemy je w pokonkursowym tomiku.

Również w poezji trzech autorów zostało pominiętych z powodów regulaminowych m.in. wspomniany już Piotr Biegasiewicz z Konina, Regina Adamowicz z Koszalina oraz Tadeusz Buraczewski, którego wiersze zostały opublikowane w trakcie trwania konkursu .

Wiersz pt. „Czas” Hanny Bemke zwrócił na siebie uwagę doбором sformułowań i warszatem poetyki z wykorzystaniem personifikacji. Poetka napisała m.in. że „*czas rysuje swoje szkice na moim ciele*”, „*minuty złośliwie umykają w chwilach radości*”, „*czas swoimi wskazówkami zmienia świat*”, „*Bóg... zegar ciągle dla mnie nakręca*”. Te metafory nadające czasowi oraz Bogu cechy ludzkie wskazują na świadomość poetycką autorki. Maria Magdalena Grzebińska napisała krótki, ale ładny, wiersz o szafie. „*Na sęku, który kokieteryjnie spogląda w moją stronę być może kiedyś powiesiłeś ociekający słońcem płaszcz, a sam usiadłszy w cieniu drzewa myślałeś, że las gra Chopina...*”

Poeci najmłodszego pokolenia literacko wcale nie odstają od autorów dorosłych. Duże nadzieje swoimi utworami wzbudza Izabela Jagła, która wierszem „Ten czas należy do nas” przekonuje, że czas dany człowiekowi należy w pełni wykorzystać, a w wierszu „Na zdjęciu z wakacji” umieszcza metaforę „*promyk słońca zamknięty w bursztynie*”. Marcin Pelcer wzbudza uznanie formułą monologu lirycznego i takimi metaforami jak „*klatka czasu*”, „*cień słów*” oraz porównaniami typu „*jak mrok w biały dzień*”. Zaś Karolina Rost ujmuje swoim wyznaniem lirycznym.

Cieszy, iż zgłoszone do konkursu literackiego utwory napisane zostały z uwzględnieniem bogactwa uczuć pogłębionych przemyśleń, życiowych doświadczeń i refleksji, a najważniejsze że w większości przypadków zawierały optymistyczne przesłania. Życząc twórcom dalszej owocnej pracy twórczej i poszukiwań literackich chcemy zapewnić, że oceniając zgłoszone do konkursu utwory wyraziliśmy jedynie swoje skromne i na pewno subiektywne odczucia i opinie. Jesteśmy przecież czytelnikami, jak wy wszyscy, którzy kochają literaturę.

W imieniu Jury

Eugenia Drawz
Henryk Polchowski



Miguel i Ialeczka

Leo Kowalsky reprezentował typ perfekcyjnego skurwiela, idola schyłku XX w. W dzieciństwie przeraźliwym krzykiem wymuszał na rodzicach spełnianie wszystkich zachcianek, wyrwał motylom skrzydełka i bił dzieci sąsiadów. W tym i Miguela. W podstawówce przeszkadzał na lekcjach, pyśkował nauczycielom i bił kolegów. W tym i Miguela. W szkole średniej po chamsku odbijał kumplom dziewczyny, bez pytania zżynał lekcje i wymuszał haracze od innych uczniów. No chyba że protestowali, to wtedy ich bił. Tak, tak, dobrze rozumujecie - Miguela także. Dostawszy się na studia przestał bić innych. Zrozumiał, że psychiczne poniżanie słabszych, głupszych i brzydszych jest dużo bardziej zabawne. Sam, mimo paskudnego charakteru wyrósł na przystojnego, świetnie zbudowanego, elokwentnego i inteligentnego samca podobającego się nie tylko blondynkom.

A Miguel? Wprost przeciwnie. Nic dziwnego, że z całego serca nienawidził faworyzowanego przez opatrność Kowalsky`ego. Chyba bardziej niż Hitlera. Obu im życzył podłej śmierci. Przed zaśnięciem wyobrażał sobie... Co z tego, że Hitler już dawno nie żyje? Przecież zaznaczyłem, że Miguel był przeciwieństwem Leo także pod względem inteligencji! Przed zaśnięciem wyobrażał sobie, jak wlewa Kowalsky`emu roztopiony ołów do ucha, albo miażdży mu twarz betonowym popiersiem Lincolna w skali 3:1, albo że rozgrzanym po-grzebaczem wywleka mu flaki przez dziurę w brzuchu wielkości decymki¹. Ba, nie raz jego sny krążyły wokół tego samego tematu. I dla Miguela były to sny dużo bardziej przyjemne od zmas nocnych.

Jednak za dnia jego krwiożerczość drzemała. Trzymał się cienia, nie odzywał niepytany, przemykał opłotkami, by nie wejść w drogę Leo. Upokorzenia znosił po męsku, to znaczy nie szlochał przy innych. Aż w końcu nie wytrzymał ciśnienia. Kiedy Leo wymalował mu psią kupą diabełka na kurtce rozpląkał się w obecności Lisy Marii. Lisa Maria może nie grzeszyła urodą, może nie emanowała seksapilem, używanie wobec niej zwrotu „lekka nadwaga” może było eufemizmem. Ale należała do nielicznych dziewczyn, które uśmiechy się do Miguela i traktowały go jak człowieka. Więc kiedy pogłaskała chłopaka po głowie i powiedziała ubolewającym tonem, by się nie martwił, bo wszyscy i tak wiedzą, że Leo to świnia, Miguel poczuł jakby go kastrowano tępym nożem z resztek męskości.

Pomocy postanowił szukać w książkach. Oczywiście nie w ulubionych, jak „Chatka Puchatka” czy „Blegenda”. Sięgnął po „Tajemne moce Haiti”.

Okazało się, iż rozwiązanie było na wyciągnięcie ręki. Niepokojąco proste, niesamowicie skuteczne, okrutne wystarczająco aby się nim zainteresować. Wystarczyło ulepić ze smoły i słomy niewielką – ot na 5 cali, laleczkę, dokonać projekcji astralnej, przenosząc tożsamość wroga na laleczkę i zadać jej tyle cierpień, aby i wróg je odczuł. Niezbyt normalne i zrozumiałe, ale Miguelowi się spodobało. Może dlatego, że po gandzi świat zawsze wydawał mu się purpurowo-złoty. Przypadła mu do gustu nawet wykonana własnoręcznie laleczka, choć niezbyt przypominała Leo Kowalsky`ego. Szczerze mówiąc, smolny gniot bardziej wyglądał na pająka z kutasikiem i pękatą głową niż na człeko-kształtnego.

Chłopak posadził laleczkę na stole, w kręgu trzynastu zapalonych świec, pokazał jej zdjęcie Leo i oznajmił:

- Jesteś Leo Kowalsky`m!
- Cholera. A nie mogłabym być Bradem Pittem? - odezwała się laleczka dyszkancikiem.
- Nie. Brad jest cool i ma fajną panienkę. A ciebie, Leo, nienawidzę! Zdychaj, Polaczku! – Miguel wbił z rozmachem grubą igłę w brzuch laleczki. I jeszcze raz! I znowu!! Wrażenie, iż odpłaca Kowalsky`emu za lata upokorzeń było tak silne, iż doprowadziło go niemal do ekstazy.
- O Jezu, Jezu, jak fajnie! Jeszcze! Dźgaj mnie, dźgaj! Mocniej - piszczała spazmatycznie laleczka przy każdym ciosie. Wykrzywiona bólem, wstrzymująca oddech w oczekiwaniu dźgnięć upodobniła się do wielkiej, nadmuchanej ropuchy. Ale nic, co przyjemne, nie trwa wiecznie. Wraz z trzecią dziesiątką uderzeń emocje Miguela zaczęły opadać; stopniowo, aż do całkowitego wyciszenia. Chłopak spojrzał na poplamioną smołą igłę, przy migotliwym świetle świec wyglądającą jakby przywarły do niej skrzepy krwi, westchnął i wypuścił igłę z dłoni.
- Mam nadzieję, że drań to odczuł.
- Ja poczułam. Ty go naprawdę musisz nie lubić! - zagadała laleczka starając się łapkami pozaklejać dziury po igle.
- Sorki za te dziurki, ale chciałem, aby drań to odczuł.
- To nie prościej poderżnąć mu gardło?
- Pewnie, ale boję się go. Sukinsyn jest bardzo silny.
- A mogę ją to zrobić? - smołowej drobinie zaświeciły się oczy.
- Okey - zgodził się bez zastanowienia Miguel.
- No, to siema - laleczka tylko czekała na przyzwolenie. Z werwą i sprawnością większą niż by się można było spodziewać po tak drobnej, ułomnej istocie, zlazła ze stołu, potruchtała do okna, szybko wspięła się po firanie na parapet i wyskoczyła na zewnątrz. Niemał natychmiast Miguel wyjrzał za nią w ciemność, ale usłyszał już tylko tupot małych nóg dudniących w rynnie. Szelest bluszczu skierował jego uwagę na miejsce, w którym być może laleczka schodziła na ziemię, ale w mroku już jej nie dostrzegł. A po chwili zapadła cisza...

Cisza...

A w tej ciszy rozgwieżdżone niebo łagodnie opadło na ziemię, czasoprze-
strzeń otworzyła czwarty i piąty wymiar, dom sąsiadów pogonił za burym
psem, a jedna z gwiazd chciała pocałować Miguela w policzek. Lecz chłopak
cofnął się w głąb pokoju, zatrzasnął okno i zaintonował na długim wydechu
piskliwym głosem:

- Uuuuuhhh. Co za zwariowana noc!

I zgasił świece. I położył się spać.

Przebudził się z poczuciem niepokoju. Nie chodzi tyle o telefon, który wy-
rwał go z głębokiej katatonii bez marzeń sennych (typowego objawu popalania
trawki), ale o nieokreślone uczucie... jakby wyrzuty sumienia... przekonanie, że
postąpił niewłaściwie. Wyświetlacz komórki podpowiedział mu że dzwoni Fre-
die, kumpel z Klubu Ciamajd, zaś zegarek, iż dopiero co minęła szósta. Rano!

- Porąbało cię? - przywitał się grzecznie Miguel odbierając połączenie.
- O tej porze?

- Stareńka, jak usłyszysz, co się stało, to wyrwiesz z wyra jak Pędziwiatr!
- zagrzmiął w słuchawce podekscytowany głos.

- A jak ja cię dorwę i kopsnę w dupsko to zawyjesz jak Wiluś².

- Mamy z głowy Leo. Raz na zawsze! Skurwiel nie żyje!

- Leo Kowalsky? Nasz Kowalsky?

- Tak. Rozwalił się na strzale. Próbował nocą na stanowej i jak doszedł dru-
giego macha³ władował się w trucka z prętami. Silnik sprasował mu dupę a
pręty były źle zamocowane i podziurawiły go jak kaczkę Barbie⁴ - z tonu Fre-
diego wynikało, że zdarzenie mocno go bawi.

- Czy... Czy to pewne?

- Przecież mój kuzyn jest pomagierem szeryfa, nie? Miał nocą dyżur i ode-
brał anonimowe zgłoszenie o wypadku. Anonimowe, czaisz? Był na miejscu
pierwszy, oczywiście po tych, którzy go powiadomili nim nawiali. Powiedział,
że tego widoku nie zapomni do śmierci. Leo wyglądał jak sprasowany jeź.
Doktorek Mike sporo się napracuje, nim go będzie można pokazać w trumnie.
Nara, bo muszę obdzwonić paru ziomali.

- Po cholere ktoś wioził pręty? – zastanowił się Miguel, lecz zamiast odpo-
wiedzi usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Leo Kowalsky nie żyje? Pręty... Jeź. Igły! Kurwa, laleczka!! – pod wpły-
wem natręctwa skojarzeń chłopak poderwał się z łóżka (nie da się ukryć, nie-
mal jak Pędziwiatr) i w paru susach doskoczył do stołu. Leżała na nim smoła-
wa laleczka otoczona wieńcem wypalonych, poprzewracanych świec. Sprawia-
ła wrażenie bardziej pulchnej i kształtnej, niż zapamiętał z dnia poprzedniego.
Ale wyglądała jak zwykła, nieruchawa laleczka ze smoły. Nie miała w sobie
nic demonicznego. No, może poza uśmiechem sytego kota malującym się na
jej pyzatej buzi, bo chłopak nie kojarzył, by ów uśmiech zaznaczył. Z drugiej
strony głowy by nie dał, że na pewno tego nie zrobił. Miguel szarpnął laleczkę
za nogę. Potoczyła się bezwładnie po blacie i znieruchomiła. Zapewne nie mogła
się ruszać. Dźgnał igłą... i też nic. Widać, nic nie czuła.

- Wstawaj! - nakazał, ale nie posłuchała. Najlepszy omen, że nic nie słyszała.
- Chcesz cukierka? - pokazał laleczce paczkę emanemsów. Nie chciała. Czyli, nic nie widziała.

Na wszelki wypadek chłopak przyłożył lusterko do narysowanych ust laleczki, ale nie dostrzegł, by tafla zaszła parą. Nie przypomniawszy sobie innych oznak życia jakich mógłby szukać, uznał laleczkę za martwą. Cisnął ją więc do szuflady i pośpieszył cieszyć się życiem. A bez Kowalsky`ego życie nabrało barw. Miguel już nie musiał kryć się w cieniu. Mógł pławić się w pełnym świetle dnia.

Jednak myśl, że mógł - choćby mentalnie, zainicjować śmierć Leo powracała coraz częściej. Za dnia wydawała się całkiem przyjemną. Jednak nocami śniła mu się mała laleczka mordująca ludzi, a z koszmaru budziły go jęki „Rozsyham się, rozsyham! Krwi! Potrzebuję krwi”. Nie pomogło wyrzucenie laleczki na śmietnik, bo teraz prócz głosów „Rozsyham się, rozsyham” wdierało się do jego snów bębnienie małych piąstek o szyby i prośby „Wpuść mnie, wpuść tatusiu!”.

Pewnej nocy, kiedy słuch Miguela był nadzwyczaj wyostrzony po kolejnym spotkaniu z gandzią, albo może nawoływania były głośniejsze niż zazwyczaj, chłopak uległ im i otworzył okno. W ciemnościach dostrzegł na parapecie smolową laleczkę. Ale jakże odmienioną. Wychudłą i pomarszczoną, zeschniętą, z zapadniętym brzuszkiem i policzkami. Wyglądała jak... lalka-starowinka.

- No, wreszcie - sapnęła z ulgą i z trudem wdrapała się do środka.
- A ty co? Jak ty wyglądasz? - zapytał Miguel.
- Zgłodniałam, tatusiu!
- Nie nazywaj mnie tak! Gdybym cokolwiek spłodził, było by na pewno ładniejsze od ciebie. Nawet gdyby miało dawna – obruszył się chłopak.
- Rozsyham się. Potrzebuję krwi! Muszę się napić krwi! Nakarm mnie, tatusiu - poprosiła laleczka drobiąc kroczkami ku człowiekowi. Przerażony Miguel błyskawicznie odskoczył w kąt pokoju i skierowawszy w stronę laleczki znak krzyża uczyniony ze złączonych palców wskazujących, zawołał:
 - Odstąp, demonie! Nie dostaniesz mojej krwi!
 - Nie bój się mnie, tatusiu, nie zrobię ci krzywdy. Muszę kogoś zabić, a ty musisz mi powiedzieć, kogo. Nazwij mnie.
 - Aha - chłopak równie szybko uspokoił się i przybliżył do laleczki. - To taka zabawa, jak z Leo?
 - Tam zabawa. Dla mnie to podstawa egzystencji. Bez krwi rozsyham się. Dlatego nazwij mnie.

Propozycja wydała się Miguelowi kuszącą. Niezbyt wierzył w moc smolowej laleczki. Lecz miał wyjątkową okazję sprawdzenia, czy to, co przydarzyło się Kowalsky`emu było dziełem przypadku czy też efektem magii. No i osobiście nic nie ryzykował obdarzając laleczkę imieniem. Nawet gdyby wpadła w ręce policji i poszła na współpracę, żaden normalny sędzia nie dałby wiary jej zeznaniom.

Problemem był jedynie wybór imienia. O dziwo, odpowiedź nadeszła szybciej, niż pytanie. Luigi Coreferro uchodził za wschodzącą gwiazdę miejscowej mafii. Wprawdzie Miguel nic do niego nie miał. Widział go z daleko raz w życiu. Ale żaden gorszy drań zasługujący na śmierć nie przyszedł mu na myśl. Luigiego pomawiano o kilka zabójstw, na co oczywiście nie było dowodów. 17 razy stawał przed sądem oskarżony o wymuszenia rozbójnicze, ale w 16 przypadkach ława go uniewinniła, a raz dostał rok w nawiasach. Mocną ręką trzymał handel prochami w dzielnicy, o czym opowiedział Miguelowi LeFonte - jego osobisty dostawca trawki. Chłopak odszukał w internecie zdjęcie mafiosa i pokazał laleczce.

- Teraz jesteś nim. Jesteś Luigim Coreferro.
- No i... ? - laleczka spojrzała wyczekująco.
- Aha - Miguel przypomniał sobie resztę rytuału. Rozejrzawszy się wokół dostrzegł nóż do otwierania kopert, dźgnął nim raz (ale mocno) laleczkę w brzuch i nakazał:
 - Giń, szmato!
 - Tylko tyle, tatusiu? - smołowa drobina nie kryła rozczarowania.
 - Nie mam dziś ochoty na zabawy. I nie jestem twoim tatusiem!
 - Jesteś czymś więcej, niż tatusiem. Jesteś moim stwórcą, moim bogiem, mentalnym przewodnikiem! - głos laleczki stał się pełen oddania i podziwu, a jej oczy zrobiły się wielkie niczym dolarówki, upodabniając ją do wiernego, starego mopsa. Lub, jak by uznali niektórzy prześmiewcy, do Sylwestra Stallone.
 - Dobra, nie cierpię lizusów. Spadaj - ponaglił chłopak.

Laleczka ochotczo pobiegła wykonać kolejne zlecenie. Choć nie poruszała się już tak błyskawicznie, jak w casusie Leo. Długotrwała dieta wyczerpała jej siły, których nie mógł zastąpić nawet największy entuzjazm. Miguel mógł więc śledzić jej drogę – jak zręcznie przeskakuje z gzymsu na gzyms, jak zsuwa się po rynnie na dach garażu, jak podbiega do śpiącego kota, by dać mu kopa, jak przeskakuje przez skraj dachu na śmietnik, później na ogrodzenie i na chodnik. Chłopak, wiedziony irracjonalnym impulsem pokiwał laleczce ręką, a ta, jakby przeczuwając miły gest z jego strony, odwróciła się na moment i odkiwała.

Nazajutrz tematem dnia była nieoczekiwana śmierć Luigiego Coreferro. Młodego mafiosa znaleziono w ciemnym zaułku z rozplatanym brzuchem. Tradycyjnie nie znalazł się żaden świadek mogący rzucić światło na sprawę, więc policja uznała zdarzenie za akt gangsterskich porachunków. Równie ważnym wydarzeniem okazał się pogrzeb Luigiego, na który zjechało więcej białych limuzyn, niż widuje się na intronizacjach cygańskiego króla. Tak, to był bardzo szykowny pogrzeb i wzięło w nim udział pół miasta. Jednak druga połowa notabli, policjanci i członkowie zdrowej części społeczeństwa nie kryli zadowolenia, że ślepa sprawiedliwość została wyręczona. Najlepiej wyraził to szeryf O'Bannon, mówiąc lokalnej prasie: „Dopóki te psy gryzą się we własnym gronie, niech im kły nie tępieją!”.

Widocznie „psom” kły nie tępały, bo tajemnicze zgony mnożyły się. Wkrótce pod kołami TIR-a zginął D.J. Corleone, lokalny capo tutti di cappi. Persona numer dwa w rodzinie, Bonifacio „Szrama” Conti prowadząc wnuczkę na publiczne lodowisko poślizgnął się tak nieszczęśliwie, że ktoś niechcący przejechał mu łyżwą po tętnicy szyjnej. Sądzony w miejscowym sądzie Rzeźnik z Bostonu napił się przed rozprawą wody i skonał, a wykonywana aż w trzech niezależnych laboratoriach sekcja nie wykryła przyczyny zgonu. Przewrócony wiatrem ceglany komin spadł prosto na głowę sędziego Maurice’a Blumentala, o którym mówiono, że za sowitą łapówkę uniewinniłby nawet morderców własnej matki. A nie zrobił tego tylko dlatego, iż prawdopodobnie zabił ją własnoręcznie. Senior Mucho, kiepski komik specjalizujący się w parodii żydowskich lekarzy hamował zbyt ostro i nadział się podgardlem na drążek biegów. Wkrótce też zginął niezwykle podobny do Senior Mucho szef kliniki aborcyjnej prof. Lee Fu Xiang - dziabnął się chińską pałeczką w oko i w szoku zamiast przez drzwi, wybiegł oknem. A mieszkał na siedemnastym... Tak, opinia publiczna była uszczęśliwiona, a społeczne poczucie sprawiedliwości uległo zaspokojeniu.

Miguela uskrzydlała euforia. Satysfakcja tłumu natchnęła go wiarą we własne możliwości. Czuł się jak Batman, Superman, jak Spiderman... Jak Luke Skywalker napompowany kosmiczną mocą. Był Biczem Bożym na zło świata i dobrze się z tym czuł! Z tygodnia na tydzień wyraźnie się rozpędział. Zaczął od łotrów z górnej półki. Ale gdy ich zabrakło, a laleczka schła i znów domagała się krwi, szukał niżej. Właściciel marketu Abdul Habdul wspierał finansowo islamskich terrorystów, więc nawdychał się węglika. Brudny Harry, najbardziej brutalny policjant w Stanach, umył się niespodziewanie, ale kumple go nie poznali i zastrzelili podczas nocnej akcji. Tony Mongoł, miejscowy głupek, źle przycinał żywopłot i dał się wciągnąć pod własną kosiarkę. Drobny dealer narkotykowy LaFonte próbował jakości nowego towaru i już się nie obudził...

Tak, śmierć LaFonte’a nieco otrzeźwiła Miguela. - U kogo teraz dostanę trawkę!? - pomyślał. A jak już raz wszczął proces myślowy, to nie ustawał. Taki to był straszliwy proces! Ciągami bolesnych, długotrwałych skojarzeń doszedł do wniosku, że choć wyręczanie Boga bywa ekscytujące, to nie jest moralne i kłóci się z Jego nauką. Miguel odkrył, że był wierzący, choć dotąd o tym nie wiedział. Poczuł, że stawianie się w roli Stwórcy było gorsze od oszukiwania w pokera. Choć mniej dochodowe. Z dnia na dzień utracił pewność, czy postępuje przyzwoicie. Lecz z drugiej strony była laleczka. Nie próbowała zbijać wątpliwości teologicznych i etycznych Miguela, lecz w kółko jęczała: „Jestem głodna; Potrzebuję krwi; Tatusiu, kogo mam zabić!?”

Miguel wynajdywał w necie, prasie i telewizji potencjalnych kandydatów do likwidacji, ale szło mu coraz gorzej. Zaczął mieć opory przed skazywaniem innych na śmierć - a wiadomo, że Bicz Boży wąpiący jest praktycznie do dupy. Im chłopak miał większe opory, tym natarczywość laleczki rosła. Kiedy „tatuś” długo nie ustępował, obrzucała go stekiem latynoskich wyzwisk, szarpała za rękaw, szczypała w tydki i zrzucała mu jedzenie z talerza. Podczas nie-

obecności chłopaka wypisywała sprayem na ścianach pokoju hasła pobudzające, jak „Bogiem bądź!”, roszczeniowe w rodzaju „Domagam się krwi przeklętych!” lub niesklasyfikowane, np.: „Real pany!”. W końcu napisy przyciągnęły uwagę matki Miguela i wysłała syna do lekarza. Na szczęście chłopak zachował dość rozsądku, by nie mówić o laleczce. Lekarz przepisał mu jedynie leki antydepresyjne, a zamiast je łykać, Miguel podrzucał ukradkiem tabletki matce do posiłków i przynajmniej z jej strony miał spokój.

Najgorsze były noce. Często budził się z głębokiego snu nie mogąc złapać oddechu. Ale koszmar się nie kończył. Na piersi czuł ciężar laleczki, siedzącej na wprost jego twarzy i wpatrującej się w niego gorejącymi oczkami. Usiłował pozbyć się jej za wszelką cenę, ale nie mógł. Wyrzucana z domu, wracała. Nie pomagało nawet ryglowanie okien i drzwi, bo dorobiła klucze i sama sobie otwierała. Zakopana w skrzyneczce przy cmentarzu wygrzebała się po kilku dniach i szyderczo śpiewała kilka godzin bez wytchnienia refren zaczynający się od słów: „Wstań, powiedź nie jestem sam”. Wysłana w paczce na Alaskę została cofnięta jako zwrot, gdyż poczta pomyliła adresatów. Ciśnięta w ogień tylko nieco się zgrzała i moczyła się potem kilka nocy z rzędu, co było obrzydliwe. Spryskana święconą wodą dostała kataru, co było jeszcze bardziej obrzydliwe. Tak, jedyną sposobność na kilka dni wytchnienia zapewniało wyznaczenie laleczce kolejnej ofiary...

Trzydziestej trzeciej - uwierzylibyście, że komentator skoków narciarskich może zagadać się na śmierć?

Trzydziestej czwartej...

Trzydziestej dziewiątej (choć w tym przypadku można by się spierać o liczbę - wprawdzie głównym celem laleczki był brutalny sierżant US Marine, ale rozbił się śmigłowcem razem z czwórką podobnych mu żołdaków).

Czterdziestej pierwszej – porażenie występującym raz na miliard wyładowań atmosferycznych różowym piorunem kulistym...

Czterdziestej trzeciej...

Czterdziestej czwartej – zabawne, co z człowiekiem może zrobić ketchup, który wpadnie nie do tej dziurki, co trzeba...

Czterdziestej piątej...

I kiedy już laleczka szykowała się do złotego jubileuszu, strojąc pokój girlandami i malując wizerunki uśmiechniętych nieboszczyków, psychika Miguela rozsypała się. Czterdziesty siódmy wprawdzie doprowadził setki ludzi do bankructwa, naciągając ich na zakup bezwartościowych akcji, ale miał też dwójkę uroczych dzieci i śliczną, młodą żonę. I cała ta trójka tak ślicznie płakała na pogrzebie maklera, że z upodobaniem pokazywały to wszystkie kanały telewizyjne. Lub czasopisma. Miguel wpadł w szal i złapawszy za pas wybatożył laleczkę. A może gwoli purystom powinno się powiedzieć „wypasił”? W każdym razie powodowany wściekłością wykrzykiwał, że ją „zabije” i że jest głupsza niż „Fredie”. Albo on krzyczał niewyraźnie, albo batożona (pasiona?) laleczka niedokładnie słyszała, w każdym razie nazajutrz najlepszy kum-

pel Miguela, Fredie, przeniósł się do lepszego świata. Zgodnie z orzeczeniem coronera denata stratowało parotysięczne stado lemingów biegnących do morza po zgubę. Ale nie można było przedstawić corpus delicti, bo wszystkie lemingi utonęły. Cóż, paskudne gryzonie w grupie bywają strasznie niebezpieczne. Choć w przypadku Frediego coroner mógł się pomylić, biorąc odciski małych stóp za tropy leminga...

W czasie pogrzebu przyjaciela Miguel miał wrażenie, że przygniata go coraz większy ciężar. I nagle coś w nim pękło. Jakby odłamała się część świadomości i pozostała na cmentarzu, zaś bezmyślne ciało godzinami wałęsało się ulicami miasta. Obłęd w oczach chłopaka musiał być zadziwiający, skoro przeszedł bez szwanku przez murzyńskie getto i kwartał Portorykańczyków, a nawet ktoś wcisnął mu dwie piątki do ręki.

Otrzeźwił go dopiero przyćmiony, niebieski neon z napisem „Policja”. Wpatrywał się weń długo starając przypomnieć sobie, co oznacza ów termin. A kiedy wreszcie odzyskał poczucie rzeczywistości, bez namysłu wbiegł na komisariat, wyznając dyżurnemu:

- Ja ich zabiłem! Gangsterów, maklerów, przekupnych polityków, sepleniących komentatorów sportowych, pederastów w koloratkach. Zabiłem nawet swojego dostawcę trawki i najlepszego kumpla. Chciałem być Bogiem, a jestem zwykłą gnidą! Zamknijcie mnie!

- Sam się zamknij!

Dyżurny najwidoczniej nie był owego dnia w dobrym nastroju. A może pączki stanęły mu na żołądku. Wiecie, jakim mocnym wykopem dysponuje wkurzony, czarny policjant z wielką stopą, który ma zgagę po pączkach? Miguel się dowiedział... Jednak ból stłuczonej kości ogonowej nie zmniejszył jego potrzeby ekspiacji. Powrócił do domu po laleczkę i udał się na inny komisariat.

- Jesteśmy cholernie niebezpieczni! - powiedział kładąc smołową laleczkę na kontuarze dyżurki. - Ja jestem szefem, a ona morduje na moje zlecenie. Wykończyliśmy kilkadziesiąt osób!

Tak... W trzecim komisariacie... Albo przejdźmy od razu do szóstego. Widocznie pracowali w nim bardziej cierpliwi policjanci, bo spokojnie wysłuchali Miguela. Poprosili do oddzielnego pokoju z wielkim lustrem. Zadali kilka pytań dotyczących zbrodniczej działalności. Polecili, by grzecznie poczekał na komendanta. I wezwali ambulans. Sanitariusze zaaplikowali Miguelowi zastrzyk, bo nie chciał dobrowolnie oddać im laleczki - ją wrzucili do śmietnika, a jego odwieźli do Stanowego Szpitala dla Nerwowo Chorych. Decyzją konsylium pozostał na obserwacji i trafił na oddział, na którego drzwiach ktoś koślał napisem mazakiem „Oddział Bogów i Napoleonów”.

Lekarze badali go codziennie. Kazali wypełniać testy, z których wynikało, że $C+B+A=R^2D^2$ bo $C=mc^2$ o ile $A<0,1$. Kiedy układał klocki w pudełku we właściwej kolejności okazywali zadowolenie i częstowali go cukierkami. Lecz gdy atramentowe obrazki wielkich żółwi nie kojarzyły mu się z penisem, popadali w zadumę. Prosili: „Zastanów się raz jeszcze. Naprawdę nie sądzisz, że ta

plama przypomina twojego ptaszka? Nie? A ptaszka kolegi?" I na wszelki wypadek delikatnie faskotali go piądem.

W ramach terapii antydepresyjnej Miguel malował trumienki i organizował pogrzeb pieskowi ordynatora, który w owym czasie wziął i zdechł. Poznał też nowych kolegów: Boba bez cienia, Stevena, w którego głowie siedział maleńki kosmita, Istvana, który chciał wszystkich głaskać po głowie, Olafa, siedem razy targającego się na własne życie oraz Gerarda, stale chodzącego z obnażonymi genitaliami. Miguel wszystkich uważał za kompletnych wariatów i nie widział powodu, czemu cały czas musiał przebywać w ich towarzystwie. Lecz faszerywany lekami nie pomyślał nawet, by spytać o to lekarzy. Było mu dobrze, ciepło, spokojnie... Przez pierwsze sześć dni. Siódmego powróciła laleczka.

Miguela przebudziła w środku nocy rozmowa. Dłuższą chwilę leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Brzmienia szemrzących w pobliżu głosów wydawały mu się znajome, ale jeszcze nie potrafił przypisać ich konkretnym osobom. Rozmowa toczyła się szeptem, tak że wychwytywał z niej tylko poszczególne słowa. Jak „kosmita”, „śmierć”, „świnia”, „chałwa” (choć może było to jakieś inne podobnie brzmiące słowo), „tatuś”. „Tatuś” wymieniany był najczęściej i w różnych deklinacjach.

Domyślił się, kto go przyszedł odwiedzić. Niechętnie zwlókł się z postania i podszedł do łóżka, na którym siedzieli Steven z laleczką, rozmawiając w najlepsze. Paranoik ożywił się na widok kompana i wskazał na smołową kruszynę.

- Widzisz? To taki sam kosmita, jak ten, którego mam w głowie. Tylko że mój jest zielony. Musisz im powiedzieć, że nie kłamię! Musisz!

- Czego?!

- Kosmita szuka tatusia - pośpieszył z odpowiedzią paranoik.

- Nie ciebie pytam, psycholu - Miguel nawet nie spojrzął na Stevena. - Czego chcesz, cholero?!

- Jestem głodna. Daj mi krwi, tatusiu! - zajęczała laleczka i zaczęła tłumaczyć, ile się nachodziła szukając tatusia i jak osłabła. W miarę mówienia rozkręcała się coraz bardziej i podnosiła głos, aż zbudziła pozostałych pacjentów. Chorzy, sunący wolno w stronę łóżka Stevena wyglądali jak upiorne pingwiny powiewające przydługimi rękawami piżam, kołyszące się niezgrabnie na boki. Utworzyli wokół ciasny krąg, w milczeniu wpatrując się w laleczkę, a Steven każdemu z osobna tłumaczył, że „czarny kosmita jest synkiem Miguela i że jest głodny”.

- Gównu tam! - zaprzeczył chłopak. - To zwykła laleczka ze smoły.

- Laleczka też nie ma cienia - zauważył Bob.

- A ja ma większe jaja - pochwalił się Gerard machając genitaliami na boki, choć nikt na niego nie zwracał uwagi.

- No nie, chyba się znowu pochlastam - mruknął Olaf.

- O laleczka. Mogę ją pogłaskać? - spytał Istvan.

- Tylko mnie rusz, a zabiję!

Niestety, Istvan nie posłuchał ostrzeżenia, więc był jedynym, którego laleczka zabiła gratis. Jak kauczukowy pocisk odbiła się od materaca wpijając się w szyję mężczyzny i nim ktokolwiek zdążył mrugnąć okiem, przegryzła mu tętnicę. Pozostali przy życiu pacjenci podnieśli krzyk i rozbiegli się w panice po sali, potrącając się nawzajem i przewracając. Wołali przy tym: - Ratunku! Kosmita zamordował Istvana. Krew, wszędzie krew. Mordują! - albo: - Zobaczcie, jak mój pisior lata!

Nim harmider ściągnął sanitariuszy, Miguel błyskawicznie skręcił pętlę z rękawa pidżamy i zacisnął ją laleczce na szyi.

- Giń, gnido!

- Ależ tatusiu! Nie bądź na mnie zły. Mnie tylko brzusek boli... jestem taka mała... - załkała drobinka.

- Chcesz krwi?! Proszę bardzo!! - chłopak zaciągnął laleczkę do stolika z prasą (pacjenci mogli czytać do woli wszystko, za wyjątkiem pism satyrycznych i religijnych) i pokazał jej zdjęcie prezydenta egzotycznego kraju, którego notowania zaczęły mocno spadać.

- Jesteś nim. Jesteś Saddamem!

- Ochujasz!?! Ty wiesz jak Iran jest daleko?

Nie da się ukryć, że laleczka może i była sprytna, ale inteligencją nie przewyższała przeciętnego Amerykanina. I pewnego pana z Białego Domu.

- Nic mnie to nie obchodzi. Albo on, albo żaden.

- Sadysta!

To było ostatnie słowo laleczki, bo na salę wpadli sanitariusze, krepując wszystkich i implikując zastrzyki uspokajające. Wszystkich za wyjątkiem zagrzonego Istvana. Ponieważ pensjonariusze podawali za sprawcę mordu synka Miguela lub czarnego kosmitę, lekarze uznali, że chłopak opowieściami doprowadził kolegów do obłądu. Odkrywcze. Jakby już obłąkanymi nie byli! Na wszelki wypadek każdego umieścili w osobnej izolatce.

Biel pokoju i osamotnienie kojąco wpłynęły na Miguela. Stał się innym człowiekiem. Odeszły go senne koszmary, przestał przeklinać, wybrał ekologiczny styl bycia. Uśmiechał się do lekarzy, mówił im „Ładny mamy dziś dzień”, a oni odwzajemniali uśmiech i konstatowali: „Jaki to miły chłopak. Może go wypuścimy?”. Wypuścili po siedmiu miesiącach, uznając za w pełni wyleczonego.

Miguel wrócił do domu. Sprzątnął pokój, wyrzucił stary zapas marychy, podjął pracę. Zaczął umawiać się z Lisą Marią i poparł w wyborach republikańców. Sprawiał wrażenie statecznego i zrównoważonego. Chociaż... dziwnie reagował na doniesienia z frontu bliskowschodniego. Kiedy cały naród z zapartym tchem śledził rozwój akcji Pustynna Burza II, on się martwił. Gdy sąsiedzi świętowali zajęcie Bagdadu, on był wyraźnie zdenerwowany. U jednych wieść o pojmaniu Husajna wywołała euforię, a u niego nawrót depresji. Aż w końcu, jak i inni, zobaczył w telewizji ostatnie chwile życia dyktatora utrwalone telefonem komórkowym. Tylko że gdy uwaga innych koncentrowała się na głównym bohaterze eg-

zekucji, Miguel wpatrywał się w maleńką postać w turbanie ujętą prawym górnym rogami kadru. Tuż przy linie. Pewnie inni też ją widzieli, ale myśleli sobie: „Co za szkaradny, mały Arab”. Lecz Miguel wiedział, że to nie jest Arab.

W dwie godziny był spakowany. Oszczędności wydał na wóz caravaningowy i nie zostawiając matce adresu, ruszył w nieznaną. Pewnie po dziś dzień błąka się po bezdrożach, między jednym oceanem a drugim, usiłując uciec przeznaczeniu. Jeżeli jednak bawiąc na polu biwakowym usłyszycie dobiegające z wozu campingowego nawoływania: „Tatusiu, wpuść mnie! Jestem głodna!” - nie interweniujcie. Błagam, nie interweniujcie, bo to się może dla was źle skończyć...

Piotr Skurzyński

¹ Moneta dziesięciocentowa

² Struś Pędziwiatr i Willie Koyot, bohaterowie kreskówek Loony Toones. Chyba przez wgląd na hasło „Klub Ciamajd” nie trzeba w to się zbytnio wgłębiać?

³ W żargonie ścigantów (uczestników nielegalnych wyścigów samochodowych): strzał - wyścig, próbowanie - ściganie, pierwszy mach - 100 mil na godz., drugi mach - 150 mil, trzeci mach - pewna śmierć.

⁴ Może chodzi o kaczkę barbeque?

Mój czas

Choć czas „zaofiarował” tyle ciemnych zdarzeń,
Popłynę własną łodzią pełną jasnych marzeń,
Która przycumuje w błękitnej krainie,
Gdzie smutna rzeczywistość szybko się rozplynie,
I w deszczy łez już więcej nie zmoknę,
Nadzieja będzie moim wielkim oknem.
Nie spojrzę już wstecz, bo nie chce
Żeby ten mój świat
Stał się niczym martwy kwiat.
Wczorajszy dzień już nigdy nie wróci -
Zostawi po sobie tylko szary cień.
Z uśmiechem będę czekać na jutro,
Na nowy, lepszy dzień.
Choć czas już w życiu naplątał tyle.
Chwytam za rękaw szczęśliwe chwile.
Być może zwątpię jeszcze nie raz,
Lecz wierzę, że wkrótce nadejdzie ten czas
Mój czas!!!

Katarzyna Sawicka

I nagroda w kategorii młodzieży

Ten czas należy do nas

kilka sekund
kilka minut
dni miesięcy lat
ten czas należy do nas
nieważne ile go mamy
nieważne ile go straciliśmy
ważne by zdążyć
by zdążyć zachwycić się światem
by zdążyć upić się latem
by zdążyć być dla kogoś wszystkim
by zdążyć powiedzieć „kocham” swym bliskim
by zdążyć zważyć i uwierzyć znów
by zdążyć nie spełnić wszystkich swych snów
by zdążyć zadać głupie pytania
by zdążyć wyjść z domu bez śniadania
by zdążyć stracić wszelką nadzieję choć raz
by zdążyć dotknąć najdalszych gwiazd
by zdążyć zgubić się i dać się odszukać
by zdążyć otworzyć gdy ktoś zapuka
by zdążyć wycisnąć z życia co się da
by móc powiedzieć
tak to był mój czas

Izabela Jagła

Adriatyk...

- Usiądź przy mnie. Weź moją dłoń w swoje ręce i nie mów nic. Nic. Absolutnie nic... Cisza; to najpiękniejszy dar, który możemy sobie ofiarować. Jej powierzmy ból, cierpienie, smutek, samotność. Jak zawsze. Radość i szczęście także; może. Jeśli przyjdą... Jeśli los i Opatrzność zechcą... Jeśli uda się to, co dziś nieodgadnione...

Stary Adriatyk mruczy z lubością pienisto-słone kołysanki, wiatr rozwiewa niesforne kędziory białogrzywych fal i przynosi z wszystkich stron świata zapachy ludzkich marzeń. Słońce spija niezliczone krople jego wodnego jeststwa z naszych ciał, obsypywanych migotliwymi pocałunkami wełnistych bałwanów rozbijających się o skały. Adriatyk płacze? Płacze! Nad nami..., swoimi dziećmi letnimi, osierocony jak my... Rozumie nas, szlocha cicho, w takt jego żalonych wzdychań unoszą się i opadają niezmierzone przestrzenie wody.

Dziś jesteśmy sami. Dziś... Kiedyś bywało nas tu znacznie więcej. Dostojny Adriatyk krztusił się ze śmiechu gejzerami wody od naszych psot i szaleństw. Kiedyś... A dziś tak tu cicho... Tak smutnie cicho. Cisza jest wszędzie, wszędzie, wszędzie wokół. Oczyszcza, uzdrowia chore dusze, moją i Twoją, choć... Niektóre przyjęła w siebie już na zawsze:

Zdrawka, Lilianę, Rajka, Dżoka i tylu innych... Ich już nikt nie przywróci do życia, cuda nie zdarzają się na co dzień, zwykłym ludziom. Nie, to nie możliwe. A Ty...

Ty miałeś szczęście, jak zawsze. Ty - szczęśliwe dziecko bogów - jak cię nazywali dorośli. Miałeś szczęście... Ale czy to naprawdę szczęście? Czy naprawdę je miałeś? Ocaliłeś życie, ale nie oczy i ręce, marzenia i wiarę. Przyjaciół i sens życia... Straciłeś wszystko. Wszystko, co miało dla Ciebie sens. A więc co ocaliłeś? ...

Cisza. Jest dobra jak czas: leczy, osłania, ukrywa, pomaga ukoić ból. Nam jeszcze nie pomogła zapomnieć... Nam nie wolno zapomnieć! To byłaby zdrada przyjaźni i zlekceważenie Tych, którzy odeszli; odeszli, płacąc najwyższą cenę za politykę. Nie możemy zapomnieć. Zapomnieć znaczy utracić. Nie zapomnimy. Nie wymażemy Was z pamięci, nie utracimy wspomnień.

Zawsze bawiliśmy się cicho. Od chwili poznania uczyliście mnie tego. Pamiętam zdziwione twarze turystów w Dubrowniku na widok szalejącej bez słów gromadki dzieciaków, wcale nie niemych, jak się okazywało. Dla mnie na początku była to wspaniała zabawa, dużo, dużo później zrozumiałam jej sens. To było trudne, ale... wyrażaliśmy uczucia wszystkimi odcieniami ciszy - od bolesnego skrzywienia ust przy wyciąganiu z nóg wspaniałych, kolczastych muszli jeżowca, przez miliony grymasów po hauście gorzko-słonej wody morskiej marszczącym nam buzie harmonijkami zmarszczek, poprzez niewyobra-

żalną błogość cudownego smaku włoskich lodów, najzimniejszych jakie można zjeść w najupalniejszy dzień, rozświetlających nas jak słońce słoneczniki w najzłotsze południe lata... I oczy pełne żalu po zaczarowanym motyłu, który nie chciał z nami zostać, odfrunął; z obawy przed nieistnieniem? - po lzy krwawe rozbitego kolana - cierpienie kojone przez mamy mnóstwem pocałunków. Dla ciszy... Cisza. Poważna i opiekuńcza wchłonęła nas w siebie i zaborczo trzymała w niemych ramionach; was wzięła w posiadanie tam, w Mostarze, a mnie poprzez was. Użyła wielowiekowego mostu dla odgradzenia waszych rodzin od normalnego życia, wcale nie cichego. Aż przyszedł czas próby, czas ciszy. Nauczyciście się jej, wtopiliście się w nią. Dla niej, nie dla nas, gdy zbyt wiele zobaczyłeś i wiele zrozumiałeś, napisałeś wiersz:

Pst, pst
Tiho, još tiše
Votiino svei više
Pst, pst
Tiho, još tiše
To samo namo ti i ja
Pst, pst
Tiho, još tiše
I nikto više

Cicho. Ciszej. Cisza. Wszystkich jej odcieni uczyliście mnie od chwili poznania, choć to już nie było tamto straszne miejsce i tamten przerażający czas. Tamten czas - pełen złowrogiego śpiewu strzelającej broni, strachu, cierpienia i okrucieństwa wszechpanującego zła. To już nie walczący Mostar, nie wojna, nie prześladowania. To nasze wspólne wakacje: poznaliśmy się na niewielkiej wyspie Uniji, rok później szaleliśmy w Dubrownik, później był Stari Kastel i Pula. Szaleliśmy. W tym roku jesteśmy sami, tak bardzo sami nad naszym starym Adriatykiem...

Cisza... Kiedyś jak złowrogi refren brzmiała między metalowymi napadami kaszlu karabinów, gdy niosła zapowiedź pieśni armat zachłyśniętych arią śmierci, gdy krzyk zamierał w milczeniu ze strachu przed kulą, udręką i poniżeniem, w ucieczce przed oczami i rękami żołnierzy przeszukujących ulice, domy, piwnice...

Rodzice nauczyli was chowania się w ciszę, dla ochrony przed złem, cierpieniem i śmiercią. Byliście mali, tacy mali... i chorzy na tęsknicę dziecięcych zabaw, rowerów, lalek, bezpieczeństwa, jedzenia i normalnej ciszy..., uwięzieni w piwnicznych schowkach i ulicznych kanałach... Do dziś pozostał w was żal, pamięć nienawiści na twarzach i złowieszczych uśmiechów wojskowych mundurów... Nieprawda! Dziś pozostał już tylko w Tobie. Ogromny. Niewyobrażalny. Nie do zapomnienia przez długi czas...

A my? Tyle zwariowanych szaleństw i szczęśliwych wakacyjnych uśmiechów upłynęło nam razem od tamtych dni. Teraz nie ma wojny, nikt nie strzela, wszędzie upragniona cisza. Ta, która nas połączyła w tajnym, dziecięcym

cym, mądrym sprzysiężeniu, na zawsze. Bardzo na zawsze... Cisza. Dobra cisza? Złudna, przewrotna, podstępna, okrutna!!! ...

W ciszy zginęli
Zdrawko, Liliana, Rajko, Dżoko.
W czasie pokoju
W ciszy
straciłeś wzrok i ręce.
W czasie pokoju...

Nie zobaczyłeś purpurowych fontann stojących szary bruk ulicy w confetti z ciał Przyjaciół... W czasie pokoju... w bezpiecznej ciszy... odeszli w błyskach rozkwitającej bomby. Cichej bomby... przeciwpiechotnej... Zostawili Ciebie, zostawili mnie; odeszli. Nie zabrali nas na tę wyprawę... Cisza otwarła dla nich nieme ramiona i zamknęła w wiecznym uścisku, by nikt ich już nigdy nie skrzywdził...

Zostaliśmy sami. Dwoje, choć naprawdę zostałam ja. Ja i Twoje ciało... Twoja dusza błądzi w obcych światach, w ciszy. Gdzie? Nikt tego nie wie. Czy wróci? Musi wrócić! Proszę... Cisza próbuje zawładnąć Tobą, tak jak naszymi Przyjaciółmi. Zbyt zaborcza jest jej miłość. Słyszysz?! Nie poddam się! Ona wabi Cię jak Królowa Śniegu Kaja, obietnicami spokoju i bezpieczeństwa! Ja będę Gerdą - upartą, bezwzględną, nie zrezygnuję. Pokonam Tę, która wyciąga po ciebie ramiona kusząc ukojeniem i zapomnieniem o ułamku wieczności, w którym trwasz nadal, o TYM co się... co się wydarzyło w wolne, sobotnie, ciepłe popołudnie. Czy Ty to pamiętasz? Czy w ogóle coś pamiętasz? Czy wiesz, że...

Że pobiegłście radośni grać w siatkówkę na placu, cicho, cicho jak zawsze. Stanałeś, by zawiązać but. Nie poczekali, gdy cicho zatrzymałeś się na moment.

But. But. But...
Uratował życie.
Nie ocali ł rąk, nie ocalił oczu...
Nie zatrzymał duszy...
Oddzielił od Przyjaciół...

Zatrzymałeś zbyt blisko rozprysniętej ciszy. Podwórko uniosło się w spazmie fontann tryskających wydartą ziemią! zdumiało ciszą, w jakiej ONI odchodzili w przestworza. Ciebie ogarnęła ciemność, niepamięć, cisza. Spazmatyczne łkanie pędzącej karetki zburzyło spokój wiosennego popołudnia. Później... zapach krwi, bandaży, lekarstw i przerażenia niósł się za Tobą w sterylnym oddechu kliniki... Później ... czoła operujących lekarzy rzeźbiły bruzdy wysiłku, usta na przemian to żarliwie żądały wsparcia, to mruzczały prośby miłosierne do wszystkich opiekuńczych bóstw o pomoc, nadzieję, ratunek. Dla Ciebie. Zastygli bólem Rodzice czekali w ciszy. Żywi a jakby martwi. Wiele godzin... Cisza zamieniła ich w nieme posągi...

Teraz.

Masz ręce.

Dwie młode, sprawne ręce. Ciepłe, żywe, z bransoletkami blizn. Twoje ręce. Są Twoje. Teraz. Czyje były przedtem? Zdrawka? Rajka? Dżoko? Czyje? ONI wiedzą... Oczy - mądre, przekorne, wszystkowidzące albo zasnutę zamysleniem, teraz są czarnymi, pustymi kulkami. Bez wyrazu, bez życia... Choć... Jest nadzieja, cień nadziei, że może w szwajcarskiej klinice uda przywrócić się to, co odebrała cicha bomba. Szansa na powodzenie? Jest, jeśli... jeśli uda się zdobyć pieniądze, wyjechać, jeśli operacja się powiedzie... Jeśli będziesz walczył o prawdziwe życie!

Musisz walczyć! Walcz! Niczemu nie zawiniłeś! Nie Ty odebrałeś mi życie! Nie Ty zostawiłeś bombę, nie Ty rozminowywałeś ten teren!

Nie odchódź! Nie zostawiaj mnie! Posłuchaj pieśni naszego letniego dziada, Adriatyku... On pomoże, ukołysze rozpacz, zagłuszy tęsknotę. Powie, po co żyć, dla kogo, natchnie nadzieją, przywoła marzenia.

Ciszo. Nie bądź bardziej okrutna! Dam co zechcesz, dam wszystko, dam siebie, ale.. zostaw mi Jego, ostatniego z Przyjaciół...

Dominika Nowak-Adamczyk

W południe

W południe...
rozbieram wzrokiem
brzozę
patrzę z zachwytem
na jej gładką białość
i liście
potem na sosnę
której czerwień
jest
jak ruda dziewczyna
z kolorowego plakatu
nade mną
wulgarne
wiśniowe usta klonu
i namiętne ramiona
świerków
lubiących robić
to razem
leżą
twarzą do nieba
na tle którego
korony drzew
szepczą
wiatrowi
o nas
przydrożna lipa
pożółkła z zazdrości
pochyla się
do nagich piersi
jarzębiny

Dominika Nowak-Adamczyk

Edlsonek

Alv T rozbił namiot na jeziorze Narie. O rzut kamieniem od brzegu buchała zielenią drzew, zaciśnięta w pierścieniu trzcin, wyspa Duchów. Był tu na studenckim obozie ćwierć wieku temu i wtedy też był upalny lipiec. Wraz ze wspomnieniem, z litego boru, który malowałby z ochotą sam Iwan Szyszkin, napłynął obłok tak żywicznej woni, że poczuł ciarki na twarzy i lekki zawrót głowy. Głowy, która i tu nakierowana była na ciekłe kryształki ekranu laptopa. Miał zaprojektować dla Tykocina kościół, którego bryła winna łagodnie zadołmować się w barkowym otoczeniu starego historycznego miasteczka. Żadnej architektonicznej brawury i ekstrawagancji, jeno coś ewidentnie neoklasycznego. I miał Alv absolutną tremę przed szkicami nawet mgławicy pomysłów. Odczuwał coś takiego, jak poeta, kiedy zasiada przed nieskazitelnie białą kartą A4 i musi skrybnąć te pierwsze, a zarazem najważniejsze słóweczka... Wiedział to, bo bywał poetą. Bywał i chemikiem, a właściwie alchemikiem, był po prostu człowiekiem renesansu, jak by zauważył to niejaki Rene' Sans. Z niedorzecznych słabości - to był - trzynastkofobem. Wierzył, że wszystko, co najistotniejsze ma związek z liczbą 13. Bo tak w jego życiu często bywało. Nad głową przeciągnęło stado krzykliwych smolistych kormoranów, lecących rywalizować z rybakami o ryby. A skoro koncipowanie nad nawą, kruchtami i dzwonicą zbytnio nie szło, wszedł Alv na czat. W jego poetyckim zaułku szła kreacja zbiorowa improwizowanego grupowo wiersza, którego tytuł nęcił optymizmem - „*życie - to gorszy sen...*”

- *my z epoki Beatlesów - poszukiwaliśmy siebie - stąd ta mania rzeźbienia w słowie* - pisała poetessa o nicku - Kosztel Klein

- *z Lumpex-u powstałeś - w Lumpex - się obrócisz* - ciągnął poe Loffo

- „*czy to jeszcze naród - czy może już horda*” - dopisał Alv T i... zrobiło się cicho w wirtualnej przestrzeni... Czując, że poecinom i poetnikom dogasają wulkany pomysłów w mózgach, albo jest mecz siatkówki naszych „złotek” w tivi, Alv prowokował:

- „*na dróg rozstajach gdzie śpiewa czart na rogu...*” Sygnował ten wers - Edi i czekał jak wędkarz, co to rytualnie naciął wodorostów z rosówkami, wymieszał toto z ziemniakami i gliną, zanęcił i zasadził się na lina. I wzięło. Wzięła raczej, bo nick Bastet sugerował miłośniczkę starożytności i kotów. Ripostowała przekornie, acz prawdziwie:

- „*a rankiem w dziką przemienia się gruszę...*”

- a jaką ma tęsknotę Lermontówna? - ironizował w rewanżu.

- Ano, zamiast koniom patrzeć w smagłe uszy, dać po uszach prowokatorowi :)

Dziewczyna spointowała kanonicznie wiersz Andrzeja Bursy „Tęsknota Michała Lermontowa”, dodała matrixowski filuterny uśmiech i czekała. Alv T czuł jak rezerwy fosforu skutecznie użyźniają jego mózg, z którego zwojów asocjacyjnych ześliznęła się kwestia-propozycja:

- bogini wybaczy, ale jak ma Ona ochotę i odwagę, moje uszy gotowe przyjąć poprzez j onosferę i fale niosące wszelkie ironieje - Bastet. I mechanicznie wstukał numer swojej komórki. Kliknął i... zreflektował się. A może to jakaś emerytka-rusycystka czatuje z nudów, a on tak bezceremonialnie...Gęsty aromat rozgrzanego sosnowego lasu spłynął jak balsam na rodzące się wątpliwości. Tu na wyspie Duchów spędził onegdaj noc z Teresą. Wtedy Scott Mc Kenzie śpiewał, że „*gdy przyjedziesz do San Francisco nie zapomnij mieć kwiatka we włosach*”. I on wpinał jej lilie wodne i kąpali się nago, by potem pisać „taniec duchów” przy ognisku. Takie wczesnopunkowe pogo. I niewątpliwie była to pierwsza dojrzała miłość...

Na horyzoncie pokazały się czarne chmurki, wzmógł się wiatr i niewątpliwie szła burza. Daleko gdzieś uderzył piorun, a toccatą d-moll Bacha ozwała się nagle jego komórka.

- mówi Bastet. Czy to wielbiciel romantycznej poezji rosyjskiej - Edi? - głos był mocny, dźwięczny i niósł jakąś enigmatyczną energię z pecynką niepokoju.

- zaiste bogini, to ja - kontynuował w konwencji z czatu Alv.

- Dlaczego właśnie Bursa? I ta „tęsknota...”? - padło konkretne pytanie.

- N-tak muszę szczerze - mocował się ze sobą Alv - „*Ja was lubił, lubow jeszcze byt mozet...*” - może to dlatego, może przypadek - dodał już mniej pewnie. I w ciszy, która na chwilę zaległa w eterze, zamiauczał kot przybłąda, widocznie znowu już głodny.

- Oo - coś mojego tam się czai i ryczy - podchwyciła Bastet - a właściwie gdzie ty jesteś i dlaczego Edi? -padło jak seria z AK- 47, pytanie.

- To chyba Warmia, jak się nie mylę, jezioro... kluczył, i tu ugryzł się w język, nie znam nazwy, kłamał, a Edi od... Edison.

- A co takiego wynalazłeś geniuszu?... opowiedz - w jej tonie odnalazł zachętę, zainteresowanie i nutkę sympatii.

- Hmm. Tak mnie w naszej kamienicy ochrzčili. Jak byłem w podstawówce miałem kłopoty ze wstawianiem do szkoły. A jak rodzice wcześniej szli do pracy... to był w ogóle dramat. Więc wymyśliłem coś takiego. Taki przedwojenny budzik z podwójnym dzwonkiem stawiałem na talerzu. Dzwonił - ale mnie nie wyrywał z krainy Morfeusza. Do pokręta od nakręcania dzwonka była przyczepiona i nawinięta nić. Nitka ta z drugiego końca przyklejona była do gałki potencjometru wielkiego radia „Stolica”.

- Wiem, takie z zielonym magicznym oczkiem - wtrąciła Bastet.

- Tak, to było największe i wyjątkowo głośne radio. Zostawiałem je włączone i tylko wyciszone. I jak ta nitka się nawijała na pokręta budzika, te pokręta szło na maksa i radio zaczynało coraz głośniej i głośniej grać. Ba! Wyc! A ja

spąłem. I wtedy z góry, z piętra powyżej, zbiegał wściekły sąsiad, który tak walił pięściami w drzwi, że się zawsze budziłem...

- No to teraz dopiero musisz być patenciarzem - testowała Bastet.

- Przyjedź - to się przekonasz - ripostował - aa... właściwie skąd klikasz?

- Spod Biskupca, też znad jeziora. Chyba oboje jesteśmy z epoki Beatlesów, co by również znaczyło, że we wczesnej młodości naszym idolem był...

- Winnetou - to nie było trudne - wtrącił nieco ironicznie Alv, i w małym antrakcie jaki nastąpił, napłynął z morąskiej fary nad jezioro daleki ale wyraźny pomruk dzwonu na mszę wieczorną.

- Oo, takiego dzwonu brakuje w carillonie św. Katarzyny w Gdańsku, coś mi to przypomina... reflektowała z dali Bastet. Aleśmy się rozgadali. „*Dniem biały płomień, nocą gwiazda spada, I wilk znaj duj e gniazdo w gorzkich trawach*” ...to gdzie masz gniazdo - wilku stepowy? -zabrzmiało poważniej acz z zainteresowaniem.

- Jesteśmy kilkadziesiąt kilometrów od siebie - słuchaj...

- Nie! To ty posłuchaj. Zagramy uczciwie, ty powiedziałaś - „przyjedź”. OK. Więc rzuć monetą i jak wypadnie orzeł, to ty mnie szukasz, jak reszka - no cóż... ja... ruszę w ten wodno-leśny kosmos. Co ty na to?...

Alv, którego ta fascynująca rozmowa wciągnęła do reszty, zatrzasnął laptop i rzucił nań złotówkę. Zadzźwięczało, zakręciło...

- Reszka! - wierzysz mi? - z odrobiną niepokoju sondował. - halo! Słyszysz mnie? - Dlaczego milczysz? - spytał bez przekonania.

- „*I traw milczenie szepnie nakaz świerszczom*” - wyrecytowała przekornie interlokutorka. OK. - przegrałam Edisonku, może masz gołębia pocztowego a wiersz napiszesz atramentem sympatycznym...

- A odczytałaś by - chemiczko? - triumfował Alv T

- Trafienie stuprocentowe. Oczywiście. A pamiętasz taki sztandarowy hit tamtych lat - „*In the road*” - Canned Heat. Prześpię się i ruszam w drogę, idę szukać wiatru w polu, czyli ciebie. Szukać jest rzeczą konieczną... i... dbaj o kota!.. - dodała i tylko pipanie w słuchawce było jedynym akustycznym dowodem rozmowy z innego jakby wymiaru vistości.

- Szukać jest rzeczą konieczną. Znaleźć - niekonieczną - kontynuował Alv patrząc przed siebie i mówiąc do siebie. A ocierająca się miękko kotka sygnalizowała głód. Dzwon umilkł, za to niebo postękiwało dalekimi echami gromów. Powietrze było aromatyczne i jakby elektryczne cokolwiek. Idealna pora na ryby. Ołowiane chmury ciężarnie ciągnęły ku wodzie. A zupełnie niedaleko od brzegu, w prześwitach pomiędzy owalami żółtopłonących grążeli, śmigwały nerwowe strzałki wzdreg. W Tykocinie ryby te nazywali krasnopiórkami, ze względu na krwiste płetwy.

A on nie miał nawet najlichszej wizji projektu świątyni. W końcu wszystkie najbardziej wyrafinowane Sagrady Familie czy inne Notre Dame - to arcy- tektonicznie (sic!:) w sumie przenikające się podstawowe, elementarne bryły - kule, walce, stożki, prostopadłości i ich przenikalności przestrzenne -

torusy etc. Ale dusza miejsca, jego sacrum, rodzi się z jedności formy i spełnienia tego jakby już określonego metafizycznie dlań oczekiwania. Dla urzeczywistnienia dawno zaplanowanego tu czy tam porządku rzeczy. Tego, czego nie widać, a architekt musi jak wizjoner zobaczyć, zachwycić się, uwierzyć, że to jest właśnie to, co pozostanie tu na wieki. I oby niosło ze sobą metaforę, piękno i przesłanie.

Spławik błyskawicznie poszedł pod wodę i Alv zaciął. Wędzisko wygięło się w parabolę i jak srebrny aeroplanik z czerwonymi statecznikami, wystrzeliła spod powierzchni wody - wzdrega. Kotka już na nią czekała... A czy on, Alv T czekał na wirtualną, jak na obecną chwilę, Bastet? Choć zdarzenie na czacie miało wszelki znamiona abstrakcji, to konstrukcja poetycko-logiczna była klarowna jak woda, w której trwał nerwowy balet ryb. I ten wstęp do przygody... *Lubow jeszcze byt może!* Zakładał na haczyk mechanicznie czerwone robaczki, zarzucał i praktycznie po kilku minutach ryby brały, a on podcinał i wyciągał. Ryby zawsze żerują tak żarłocznie przed burzą. Bura kotka leżała już syta i zadowolona, aż Alv zorientował się, ileż to skrobania ryb go czeka. Z pierwszymi grubymi kroplami deszczu, emisariuszami ciągnącej burzy, wycofał się do namiotu. Właśnie wtedy na studenckim obozie napisał tekst piosenki - „Tańcząc w deszczu”.

„Czy wytrwamy tańcząc w deszczu, nie czekając już na słońce, czy wykrzyczysz - kocham burzę, która nigdy się nie kończy?”

Teresa tańczyła cudownie w deszczu. Ale nie przetrwali... A deszcz znowu, i to tu padał. I teraz ten internetowy taniec wyobraźni. Bursa, Lermontow, Beatlesi i ta błyskotliwa Bastet. Alv T był nie tylko na studiach niezłym improvizatorem. Kiedy zadurzył się w jednej, całkiem inteligentnej Joannie, to w nocy wszedł do niej po pnączach winorośli rosnących pod jej oknem. W sąsiednim pokoju spali tradycyjnie pojmujący uczucia i zasady -jej rodzice. Chodzenie po linie stało się jego hobby. I niewiele brakowało, by Aśka została jego żoną. Może gdyby się wtedy zatrzymał, bo później już tylko gnał i pędził, wyprzedzał i kolidował po torach życia jak jakiś Kubica, a uczucia, miłości i zauroczenia przepalały się jak źle chłodzone procesory. Właściwie to łatwo jest czymś życiem postarować. Z własnym - raczej nie wychodzi. Uśmiechnął się, bo stanął mu przed oczyma obrazek laboratorium. Jego prywatnego, kiedy miał dziesięć lat, ale wzorowanego na rycinie z pracowni Newtona czy innego Faradaya. Jakieś kolby, retorty, tygle... i w rogu - pajęczyna. A u niego przynieszone pająki nie chciały zrobić pajęczyny i uciekały. A pajęczyna być musiała. I szlus! Więc przyniósł dorodnego krzyżaka i uwiązał go jedwabną nitką za nóżkę. I dostarczał muszki. I po tygodniu pajak wykonał rachityczną niewielką pajęczynę. To był efekt! Upór i intuicja to połowa sukcesu. Druga połowa to chyba tylko - szczęście. Jak to Tuwim ujął: *między stopą a tonią co weń się zanurzy, między zaproszeniem a rankiem podróży. Tak - querwa! Tam tylko bywa szczęście!* - zamamrotał pod nosem. Sam tego szczęścia jakoś nie doświadczał, ale się bronił sentencją- a czy ktoś widział szczęśliwego poetę?.. Właśnie - tylko poezja! Poeta to taki alchemik, co sam zanurza się w dookolno-

ści, doświadcza jej i subtelnie ją sublimuje w galanterię satyryczną bądź wiersze. Aby inni już nie błędzili - uśmiechnął się ironicznie. No cóż - życie jest po to, aby żyć. Jak najlepiej, jak najpełniej. Jak?... nie wiedział... Zanucił - zamruczał - zalermontowił:

Ja was lubił, lubojeszco, byt możet... Noc nieprzespana zagmatwa się w cieniach,

Sny miał takie, że sam Freud by się w nich pogubił. Kościół o strzelistych gotyckich łukach. Ślub i to on, nie on, ale jakby on. Ona - raz Teresa, raz Joanna, albo imaginowane bohaterki jego wierszy. Chciał uciekać sprzed ołtarza, ale nie mógł. Oślepiła go wielka rozeta - witraż, gdzie wtopione w kolorowe szkło pływały ryby, ryby, ryby.. Ocknął się gwałtownie, rozsunął suwak namiotu i wpatrzył się w rozgwieżdżony klosz nieba, pod którym leżał, „*gdzie że nasza zwiedza, może zdies, możet da*” - pomyślał Wołodą Wysockim, by już poważniej stwierdzić, że czasem sen jest gorszy od życia, które może po nim nastąpić.. Jak pointa przemknęła bezszelestnie sowa. Znad szuwarów dymiła mgła, bo była godzina, o której śpiewa Cohen, iż pisze list, a muzyka na Clinton Street gra wciąż na okrągło... Leonard -metafizyka *przegranej*... *Czwarta... Kiedy czujesz lęk i drętwienie rąk*... Właśnie, kto to powiedział - „są nieszczęśliwi, ponieważ nie godzą się na swój los”. Właśnie - kto?! Ba! Ale przegrany to nie jest tożsame, że nieszczęśliwy... W tych deliberacjach dopiero dostrzegł, że na ekranie komórki miał wiadomość.

- Edisonie, musisz wynaleźć istotne obiadowe menu dla trojga, w tym kot.

I załączyła pomysłowo wykonany rysunek głowy kota, skompilowany z komórkowej galanterii, czyli z apostrof, nawiasów i przecinków. Bastet była przecież kociogłową kobietą- egipską boginią miłości i płodności. Chciał jej odpowiedzieć, ale nie mógł, bo nie wysyłała numeru telefonu. Dwa dni temu nieopodal rozbiła namiot jakaś para młodych z Trójmiasta. Byli wyjątkowo hałaśliwi. Na przemian kłócili się, kochali, a w antraktach dzwonili do wszystkich możliwych znajomych. Darli się do telefonów jak głodne młode kormorany. Alv był na takie niedogodności przygotowany. Do akumulatora w aucie podłączył „procesorowy odkurzacz” (ot tak zwał taką elektroniczną zabawkę) i w promieniu stu metrów zamilkły wszelkie komórki. Młodzi, którzy są w stanie przeżyć bez jedzenia i picia czas jakiś, bez komórkowej „smyczy” - żyć nie potrafią. A każda smycz jak i kij ma dwa końce... Alv T mając minimalne wyrzuciki sumienia starał się im to zrekompensować. Przy pomocy małego lasera zrobił kilka hologramów nad wodą, a i położył na gładkiej toni jeziora, przed wyspą duchów - ślady stóp. I przy tej okazji też skrobnał: *W życiu - warto jedynie być sobą - w życiu trzeba ze sobą być w zgodzie - by się we mgle nie zderzyć, umieć czasem uwierzyć, że ktoś idzie do nas po wodzie... A czy przyjdzie?.. I rano już ich nie było, odeszli łodem... Widocznie nie mieli poczucia humoru widząc jakieś ślady stóp na wodzie... No cóż, współczesny człowiek, jest wpisany (jak na szkicu Leonarda da Vinci) w zasięg telefonu komórkowego. A Alv miał przeświadczenie, że jest tylko wpisany w krąg niespożytej wy-*

obraźni. A za czasów studenckich - nieograniczonej. Tu właśnie, na obozie, za wyspą duchów, natrafili na żak zastawiony na ryby przez rybaków. Był pełen węgorzy, które zeń wybrali. To studenckie kłusownictwo miało miejsce nocą ze względów oczywistych i w tajemnicy przed dziewczynami. By potem kilka wiader węzowatej, wijącej się zdobyczy, dyskretnie wysypać w namiocie dziewczyn. Piekło, to dość ascetyczne określenie na to, co później się tam nastąpiło. W każdym bądź razie węgorze łatwiej było zebrać, niż odnaleźć dziewczyny w ostępach pobliskiego lasu. Coś mu zaczynało podświadomie świtać architektonicznie, jeszcze nie wiadomo co, ale neurony w mózgu zderzać się poczęły energicznie w jakimś, już jakby konkretnym celu.

Kiedy ocknął się, słońce stało zenicie a kormorany, które rytualnie okradły znów rybaków ze sporej ilości ryb, wracały właśnie z krzykiem do swojego siedliska. A na miejscu biwaku młodych stał już nowy wojskowo-zielony niewielki namiot. Alv wyposażył tytanowe wędzisko w nowy kołowrotek Shakespeare'a (jakże mógłby być inny) i uśmiechnął się na widok kotki, która przęzła grzbiet z zadowolenia, przeczuwając już świeżą dostawę ryb. I ruszył z myślą, że co ma wisieć nie utonie (jak myślą zapewne węgorze w wędzarni) na połów. Słońce podświetlało wyspę duchów od zachodu i wysokie olchy na tle trzciny odbijały się w wodzie enigmatycznym, ciekawym rysunkiem, który przemawiał do jego wyobraźni. Długi kształt proporcjonalnej budowli z rozwartymi jakby dramatycznie ramionami. Powiał lekki wiatr, i ten jakby cień monumentalnej, odbijającej się w wodzie świątyni, pokrył się drobnymi falami szlachetnej jakby dachówki. Alv T zarzucił przynętę tak od niechcenia, niedaleko od trzciny kępy, a przez rozgrzaną jego głowę gnały już setki kombinacji myślowych. Ten rybacki przyrząd do połowu - żak! Ten żak składa się z przemyślnie plecionej siatki - czyli włoka, a tak zwane serce, czyli najważniejsza część, to ta, gdzie ryba jak wejdzie, to już wyjść nie potrafi i - te ramiona otwarte i naprowadzające ryby w pułapkę. Czyli matnia. Tak! To było ewidentnie to. I tylko to. Pomysł był banalnie prosty i poprzez to nieomal genialny. Zali wszelka sztuka jest „poprzez”. Zamknął oczy i inspiracja z wody poczęła się materializować. Szukać współrzędnych w świecie logiki i przestrzeni. Zobaczył na ambonie misjonarza, który dokonywał oratorskiej inkluzji Ewangelii w materię kazania. *I rzekł On: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”*. To mówił Chrystus do Szymona-Piotra nad jeziorem.

Alv oczyma wyobraźni już widział: wielką nawę główną i przedzielone symetrycznie dwie kruchty, każda wsparta na dwu potężnych filarach-pilastrach. Ołtarz był zakomponowały tam gdzie serce tego architektonicznego „żaka”, już z rybackiej sieci przechodzącego w metaforę i śnienie w budowlę, konstrukcję najważniejszego przesłania Ewangelii jeziora Genezaret. A skrzydła sieci-żaka?! To będą arkady łączące bryłę główną z dwiema wieżami: dzwonnicy i zegara!

Alv T patrzył w wodę, w której widział przemiennie to eliptyczne łuki arkad, to kolorowe „rybne” witraże okien I już ostrołukowo szkicował w prze-

strzeni pomiędzy nadprożem a łukiem portalu. Tympanon nad kutymi stalowymi drzwiami już widział wypełniony „Sądem Ostatecznym”. Nie uświadamiał sobie jeszcze, że dywagując wewnętrznie, postrzega zarazem rysującą lustro głowę, której obecność była jakby zupełnie daleko od Biblii jak i wizji święty-ni. Głowę kobiety...

Głowa ta nagle znikła pod powierzchnią, tylko kręgi świadczyły, że być może to nie jest.... złudzenie. Spławik gwałtownie zakołysał się i poszedł jak ła pod wodę. Alv jak automat zaciął, ale, mimo iż kij wygiął się w znak , opór był taki, jakby haczyk wbił się w kłodę pod wodą. Nic z tego pojmował. Jeszcze... nie kojarzył. Pod powierzchnią wody zamajaczył się kształt, by wynurzyć się pełnokrwistą i uśmiechniętą wodnicą. To mogła być tylko Bastet! Zresztą to był 13 lipca 2007 i do tego piątek! Szła doń w krystalicznych bryzgach wodnych piękna, pewna i pełna opalizującej, dojrzałej kobiecości. Mówiła, albo to im już się zdawało:

Jutro znów w skwar, albo w zawieję śnieżną, aż serce zmorzy późnych ognisk dym...

Tadeusz Buraczewski

Poza konkursem

Myśli to słowa

Myśli to słowa
Niewypowiedziane...
Nieuchwytnie
Krążą jak ziemia
Dookoła Słońca
Nie mogą się wyzwolić
Odfrunąć z obłoku
Dryfując bez końca
W kole wyobraźni
Jak ptaki niesforne
Powoli, wirowo
Spadają z wysoka
Pod piórem poety
Zmieniają się w słowa

Regina Adamowicz

Poza konkursem

5 IV 2007 r.

w bibliotece na ratajczaka
przepadałem w niechlujnej górnolotności
kabotyńskich epitafiów płacziwych wierszy
opisujących gesty przesycone myślami o
kobiecie ubranej w stringi i wyciągnięty sweter
sonetów o elemie lajcie palącym się pod wpływem
nieuważnego wzroku trochę drobnym i małym odrobinę
niepotrzebnym i nieszczęśliwym płomieniem

w końcu tak naprawdę nic nie jest idealne
zawsze któraś z piersi jest mniejsza od drugiej
a nieskończoność pozostanie na zawsze spojrzeniem w
otchłań

pośród bezczelnego odludzia zabitego samotnością ubraną
w światłość oddanych przemijaniem drzwi prowadzących i
zamykających się za tobą pytaniami bez odpowiedzi grającymi
z żalem w kółko i krzyżyk

tak jakby rzeczywistość kończyła
się tuż za ścianą czarownik swojego plemienia
zatrzyma wskazówki zegara i spróbuje opowiedzieć
historię o duszach przepasanych radością i o tym że już
nikt nie chroni ich przed okruciami
teraźniejszości

Piotr Biegasiewicz

Czas należy do nas

*„Ona ma siłę
Nie wiesz jak wielką
Będzie spadać długo
Potem wstanie lekko”¹*

Big Bang. Z wieży cicho sączyła się muzyka w migdałowym kolorze. Wybuchła Supernowa. A dziewczyna otworzyła szeroko przymrużone do tej pory, orzechowe oczy. Jedno, dwa, tezy uderzenia serca. Już mogła chwycić w dłonie- narodzoną mrugnienie oka temu - czarną dziurę i podrzucić ją niczym piłeczkę do tenisa. Nie chciała spaść. Przylepiła się do przyklejonej do nieboskłonu gumy do żucia. Przynajmniej wapń został. Westchnęła i rozejrzała się dookoła. Zegar wybił jedenastą wieczorem. A wszechświat rozszerzał się, kurczył i był nieskończony. Wszystko jednocześnie.

O, tam, na wprost jej źrenic- droga mleczna jego kręgosłupa. Na prawobliźniacze, niebieskie planety jego oczu i kometa ust. Lawina meteorytów w miejscu pięgów, mgławica burzy loków... Na lewo- gwiazdozbiór łędźwi oraz smukłych łydek, jeszcze dalej - satelity palców u stóp, paznokcie zbudowane z księżycowego pyłu. I wspomnienie smaku ust, i pocałunek, którego jeszcze przez miliardy lat nie będzie, i te tęczówki, a dłonie, a głos... Och. Słabo mi. A rodzaj Homo zastanawia się, czy nie lepiej zostać nazwą tylko i wyłącznie dla serków w pobliskim, stykającym się ścianą z tym bąblem bąblu. Ciii! Ciężkie to.

Rycerz na koniu mechanicznym przyjechał, zobaczył, zdobył i zabił ją papierosowym dymem. Tik, tak, tykamy, zegar i tylko dwie kalorie. Poprzez gołą galaktykę płynie czarne serduszko ze złotym brokatem i tak sobie myśli: „Co by się stało, gdybym w całym wszechświecie był tylko ja i piłeczka, którą bym pchnął?”. Poruszałbyś się ruchem jednostajnym prostoliniowym, drogie serduszko. Tyle, że piłeczek zabrakło, za to kosmicznego pyłu mamy w nadmiarze. Ekhe, Ekhe...- pylica. I jeszcze ten przekłety hel, wodór... Dziewczyna otarła oczy, udała, że nigdy nie płakała i przeczytała kolejny list wysłany do dobrej-pani-psycholog-z-gazety-xyz. Sekunda.

Wyrzała przez okno swej komnaty, marząc o ujrzeniu teraźniejszości- fosy, drogi, pastwisk, lasu na horyzoncie... I żadnej siebie trzymającej Jego rękę, muskającej Jego usta, kręcącej się w kółko z radością wprost wymalowaną na licu, patrzącej na Niego spod półprzymkniętych powiek z uśmiechem wylegującego się na słońcu kociaka. Miesiące. I żadnych porozumiewawczych spojrzeń, nagłych rumieńców, spacerów po ścieżkach zdrowia, bawienia się włosami, przesyłania całusów, nawet kłótni. Lata. I przede wszystkim - żadnego efektu

cieplarnianego, drapaczy chmur, helikopterów i mechaniki kwantowej. Płyta się skończyła. Nie chciała tego oglądać jeszcze raz. Odwróciła się plecami do złośliwego okna. Poczowała się stara, przygięta do ziemi ciężarem miliardów lat. Powoli, powoli podeszła do szafy. Na dole buty, u góry kapelusze, sukienki na prawo i lewo przez nieskończoność. Otworzyła szufladę. Wyjęła złożone i ułożone w niewysokie stopy ubrania. I mały, srebrny, ślicznie ozdobiony, ostry... nóż.

Przejrzała się w tafli zimnego metalu. Odbicie odpowiedziało jej krzywym, wyniosłym spojrzeniem czerwonych oczu. I przemówiło do niej bardzo sugestywnie. O krwi, o przygniatających ją wiosnach i o tym, jak łatwo może jej z siebie wyrzucić za pomocą jednej zaledwie ranki. No, góra dwóch, trzech. I o rozkoszy, jaką zazna spoglądając w te błękitne oczy, odbijające niczym zwierciadła dręczące Jego duszę wyrzuty sumienia. Przecież chcesz być znowu lekka, czuć wolne miejsce w swoich kanałach. Przystawiła ostrze do skóry i uśmiechnęła się triumfalnie, oddając się ekstazie. Nawet zadrapania. Szybko jeździła czubkiem noża, kreśląc niewidzialne-realne litery. Nigdy... Nie, nie zamazała dłonią napis. Pozostawmy przy oryginale. *Never...* I jeszcze kilka słów. Uśmiechnięta, triumfująca nad zdradliwym drżeniem prawej ręki, rzuciła nożem, który przebił ścianę, dwa wymiary i tylko dzięki heroicznemu poświęceniu gumy do żucia nie przebił naszej mydlanej bańki. Został unieruchomiony - na wieczność wspomnienia.

Wolna od urojeń, marzeń sennych, chorej jawy i niebieskich planet jego twarzy, zamieniła się w kwiat lotosu i rozmyślała. O zdolności, jaką otrzymał ludzki mózg-panowania nad czasem. O jego- czasu- względności. Głównie. O możliwości przeżycia wieczności podczas jednego uderzenia serca, o trwających godziny sekundach, o nawiedzającej terażniejszość przeszłości, o niekończących się wspomnieniach, których można się pozbyć. Myśli kłębiły się w płatkach jej korony niczym chmury na niebie, zmieniając co chwilę kształt, mieszając się ze sobą. Wiedziała, że odkryła coś ważnego, a może po prostu znalazła coś, co było w niej od zawsze? Wybiła dwunasta. Podniosła się i stanęła na nogach, listki zmieniły się w parę kończyn. I wszystkie tajemnice powróciły do swej kryjówki. Czekwały. A ona, otulona migdałowym szalem, zbiegła po schodach.

Szare oczy spokojnie czekały. Zielone patrzyły spokojnie i odrobinę złośliwie, jak zwykle. Błękitne właśnie zaczęły spoglądać z powrotem w jej stronę.

A ona...

*„Ona ma siłę
nie wiesz jak wielką
umierała długo teraz rodzi się lekko”²*

Izabela Krawczyk

1 - Varius Manx, Zanim zrozumiesz

2 - Varius Manx, Zanim zrozumiesz

Wyróżnienie w kategorii młodzieży

* * *

Idę widząc ludzi za czarną szybą...
Widzę ich, lecz oni mnie nie zauważają...
Mijają mnie...
Każdy spieszy w swoją stronę
Biegąc coraz szybciej
Nie wiadomo do czego...
Po co biegniesz??
Po co się spieszysz??
Przecież czas należy do nas!
Przecież to Twoje życie...
Życie jest tak krótkie...
Tak piękne...
Rozejrzyj się!
Przecież wcale nie musisz się spieszyć...
Zwolnij
Wcale nie musisz żyć za czarną szybą...
Przecież życie ma swoje uroki...
Czas należy do Ciebie...
Nie zmarnuj go!

Aneta Fuhrmann

Historia Pauliny

Był środek zimy. Przyroda jednak nic sobie z tego nie robiła. Było ciepło, a na drzewach pojawiały się już młode listki, choć był dopiero początek lutego. Paulina i Malwina szły jedną z ulic Gdyni i rozmawiały. Właśnie mówiły o tym, jak stwierdzono, że są one siostrami i to w dodatku bliźniaczyni.

- Myślisz, że naprawdę jesteśmy tak do siebie podobne?
- Nie. To tylko opinia jednej osoby. Na razie nie jesteśmy do siebie podobne - Paula ucięła temat, a przynajmniej się starała.
- Już dobrze nie złość się tak, a powiedz, dlaczego?
- Chodzi o twój styl.
- A co w nim takiego złego?
- Ubierasz się trochę jak wieśniara. Albo to jak narzucasz się ludziom. Czy ty tego nie widzisz?
- Nie myślałam, że tak to wygląda. Coś jeszcze masz mi do zarzucenia?
- Zachowujesz się trochę jakby Ala była twój ą własnością. Jeśli chce coś zrobić bez ciebie, albo coś innego niż ty to od razu się obrażasz.
- Pomożesz mi się zmienić?
- Jeśli będziesz chciała posłuchać moich rad to oczywiście.
- Mam pieniądze z urodzin przy sobie, więc oddaje się w twoje ręce.
- Dobra, więc najpierw fryzjer. Moja ciocia ma niedaleko prestiżowy zakład fryzjerski. Myślę, że nas gdzieś upchnie.
- Paula wiesz, że mnie nie stać.
- Cicho...
- Podeszły kawałek i już po chwili weszły do salonu.
- Cześć ciociu.
- Dzień dobry.
- Cześć. Co was do mnie sprowadza?
- Mam wielką prośbę. Czy znalazłaby ciocia dla nas trochę czasu, by zrobić coś z włosami mojej przyjaciółki?
- Hmm. Tak. Właśnie jedna z klientek odwołała wizytę, więc zajmę się nią osobiście.
- Dziękuję ciociu. Jesteś kochana.
- Nie ma, za co. Niech panienka siada. O Boże! - wykrzyknęła ciocia Pauli - Luiza, gdy zobaczyła włosy klientki dotychczas schowane pod czapką. - Szybko do mycia.

Podczas mycia Malwinie głowy Luiza rozmawiała z Paulina. Postanowiła, że przyjedzie dzisiaj do jej matki na kawę. Po skończonym myciu Luiza spytała się:

- I co teraz?

- Myślę, że podetniemy końcówki i mocno wycieniujemy włosy - Paulina przejęła inicjatywę.

- Trafny wybór.

Ciocia Pauli zabrała się do dzieła. Gdy skończyła minęła właśnie godzina od wejścia dziewczyn do salonu. Dopiero teraz Malwina mogła obejrzeć się w lustrze.

- To nie jestem ja!

- Oczywiście, że to ty. Nikt inny nie siedział na tym fotelu. Wyglądasz fantastycznie.

- Dziękuję. Ile pani płacę?

- Niech ciocia dopisze to do mojego rachunku - wtrąciła Paula.

- Paula...

Siedź cicho. Dziękujemy ciociu i do zobaczenia wieczorem.

- Do zobaczenia.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Paula i Malwina wyszły z salonu i poszły wzdłuż ulicy Świętojańskiej, gdzie mieszczą się najmodniejsze i tym samym najdroższe butiki. Paulina wciągnęła koleżankę do jednego z nich. Była bogata i wcale się z tym nie kryła. Nie była też samolubna i rozpieszczona jak jej matka. Pieniądze traktowała jako miły dodatek do życia. Paula była wysoka, szczupła. Miała włosy koloru miodu modnie obcięte na pazia. Ubierała się w markowych sklepach, ale tylko w czarne rzeczy. Malwina także była wysoka i szczupła, i też miała włosy koloru miodu, choć trochę ciemniejsze. Jej włosy przeważnie zwisały smutno wzdłuż twarzy nadając jej nieciekawą wygląd. Teraz były mocno wycieniowane i wydobywały ukryte dotychczas rysy jej twarzy. Ubrana była w kolorowy miszmasz z second-handu.

Gdy weszły do butiku Paula od razu zaczęła buszować wśród wieszaków. Wzięła trzy pary spodni i kilka bluzek. Mai z przerażeniem patrzyła na swoją koleżankę.

- Masz przymierz to.

- Paulina czy ty widziałaś te ceny? Przecież mnie na to nie stać.

- Potraktuj to jako prezent urodzinowy ode mnie. Jutro na imprezie najwyżej nic nie dostaniesz.

- Ja tak nie mogę.

- Możesz. Czy może chcesz, bym kupiła te rzeczy nie pytając cię o zdanie?

- No dobra. Idę je przymierzyć.

Po kilku minutach:

- Wyglądasz wspaniale! Przymierz jeszcze to - podała jej dwie spódnice, kilka sweterków i bluzek. Po chwili, gdy dziewczyna wyłoniła się ponownie z przymierzalni znów wykrzyknęła:
- Wyglądasz wspaniale!

Gdy wyłoniła się ubrana w swoje stare ubrania Paula podeszła do ekspedientki i podała jej wszystko, co mierzyła Malwina oraz jeszcze dwie czarne bluzki dla siebie.

- Poprosimy te rzeczy, a te czarne bluzki proszę zapakować oddzielnie.
- To będzie...
- Zapłacę kartą.
- Dobrze.

Dziewczyny wyszły z butiku i od razu weszły do następnego. Tym razem z butami.

- Obejrzyj sobie i powiedz, które ci się podobają. Nie chcę słyszeć żadnego „ale” - powstrzymała protest koleżanki.
- Wszystkie są ładne. Nie mogę się zdecydować.
- No, więc przymierz te. Będą ci pasować do spódniczek i do spodni - podała jej buty z czarnej skóry na pięciocentymetrowej szpilce.
- No i jak?
- Wspaniale.
- Więc je weźmiemy. Przymierz jeszcze te baletki i te trampki.
- Obie pary są dobre.
- Potrzebujesz coś jeszcze?
- Nic.
- A ja wezmę sobie jeszcze te glany. Będą pasowały do wszystkiego. Poprosimy te buty. Glany prosimy zapakować osobno.

Zadowolona z siebie Paulina tym razem pociągnęła przyjaciółkę do drogerii. Wybrała odpowiedni dla niej tusz i podkład.

- Jakiego koloru mają być cienie?
- Jakies pastelowe, stonowane.
- Dobrze. Weźmy ten zielony, pomarańczowy i fioletowy. Błyszczyc czy pomadka?
- Błyszczyc.
- Myślę, że odpowiednie będą właśnie te, które trzymam.
- Będą dobre. Paula proszę cię przestań już. Nie mogę patrzeć jak marnujesz tyle pieniędzy.
- To sprawia mi przyjemność, a przyjemności chyba mi nie odmówisz.
- No nie.
- Po za tym ja nie marnuje pieniędzy tylko je dobrze inwestuje. Przejdźmy teraz do działu z perfumami.
- Te musisz sama wybrać. Tylko proszę cię nie sugeruj się cenami.

Paula chwyciła w locie jeszcze swój ulubiony tusz do rzęs, błyszczący, czarny lakier dla siebie. Wzięła też kilka innych lakierów w kolorach takich jak cienie do powiek dla Malwiny. Obydwie wybrały perfumy dla siebie. Po opuszczeniu drogerii przyjaciółki były wykończone zakupami. Skierowały się, więc do kawiarni. Wzięły po ptysiu i gorącej czekoladzie.

- Ja stawiam - powiedziała Mai. - Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

- Niech ci będzie, choć dziś są twoje urodziny i chciałam wszystko ci fundować.

Usiadły i wpatrywały się przez chwilę milczeniem w drugą stronę ulicy. Malwina przerwała to milczenie mówiąc z zachwytem:

- Widzisz tego anioła po drugiej stronie ulicy na wystawie sklepu „Fantazja”?

- Tak. Cudny.

- Nie wiem jak ci się odwdziczę za dzisiejszy dzień. Wydałaś fortunę.

- Zapamiętaj te urodziny jako wyjątkowe i uznaj je za przełom w życiu. Niczego innego nie musisz robić - Paulina uśmiechnęła się do koleżanki.

- Teraz weź te rzeczy... - podała jej bluzkę, spodnie, sweter i buty - ...i idź do łazienki się przebrać. Poczekam tu.

- Dobrze.

Gdy Malwina zniknęła za drzwiami łazienki Paula zatelefonowała do swojej kuzynki, a córki Luizy:

- Kochana mam do ciebie ogromną prośbę.

- Słucham.

- Mogłabyś jeszcze dziś pójść do „Fantazji” i kupić dla mnie tego wielkiego anioła na wystawie, a potem jakieś opaski, gumki i inne ozdoby do włosów w kolorach pastelowej pomarańczy, zieleni i fioletu oraz jakieś gustowne torebki. Takie na każdą okazję.

- Nie ma sprawy.

- Jesteś naprawdę kochana. Pieniądze ci oddam, a twoja matka przyjeżdża dzisiaj w odwiedziny.

- Mogłabyś wpaść z nią.

- Oczywiście wpadnę.

- Zrobiłabym to sama, ale... wyjaśnię ci później. Teraz muszę kończyć, ach bym zapomniała. Proszę kup jeszcze jakieś wisiorki.

- Nie ma sprawy. Zaraz się ubieram.

- Jesteś aniołem. To papa.

- Do zobaczenia.

Paula zakończyła rozmowę, gdy do stolika zbliżyła się Mal.

- No i jak? - zapytała z powątpiewaniem.

- Własna mama cię nie pozna. Teraz możemy uchodzić za bliźniaczki.

Skończyły ciastka i poszły na pociąg do Redy. Przy domu Malwiny się rozstały. Akurat spotkały wychodzącą z domu mamę dziewczyny.

- Dzień dobry.
- Cześć mammo.
- Cześć. Mal? To naprawdę ty?
- Tak mammo. Podobam ci się?
- Wyglądasz wspaniale, ale kto...
- To prezent ode mnie na urodziny. Proszę żeby pani się nie sprzeciwiała, ani nic nie mówiła. Mal tego nie chciała, ale ja się uparłam.
- Ale...
- Proszę panią. Te pieniądze się dla mnie nie liczą, a jeśli mogę uszczęśliwić Malwinę to tym lepiej. Dla pani też coś mam. Za to, że tak dobrze ją pani wychowała, ale proszę otworzyć dopiero wieczorem.
Podała jej saszetkę, pożegnała się i poszła do domu. Wracała szczęśliwa. Cieszyła się, że mogła, chociaż kogoś uszczęśliwić. Liczyła, iż dzisiaj wydała trzy tygodniówki (razem z zakupami, które miała zrobić jej kuzynka). Dla niej to żadna strata, bo już od czterech miesięcy prawie nic nie kupowała dla siebie. Nie miała takiej potrzeby.
Po powrocie do domu dziewczyna wybrała ubrania, w których pójdzie jutro na urodziny. Potem coś przegryzła. Właśnie kończyła, gdy do domu weszła jej matka - Anastazja ze swoją siostrą i siostrzenicą. Przywitały się, porozmawiały i dziewczyny poszły na górę.
- Ile ci płacę?
Bożenka wymieniła sumę, a Paula wyciągnęła portfel i oddała jej trochę więcej.
- Jestem ci strasznie wdzięczna. Moja przyjaciółka ma dzisiaj urodziny, a jutro je wyprawia. Byłam dzisiaj z nią w Gdyni, gdy zauważyła tego anioła.
- Kazałam go zapakować na prezent.
- Za to też jestem ci strasznie wdzięczna. Wymieniłam jej całą garderobę. Kupiłam kosmetyki i obcięłyśmy jej włosy u twojej mamy.
- A właśnie. Mówiła, że byłaś u niej. Ponoć dziewczyna wyglądała strasznie.
- Bo tak było. Już nie mogłam na nią patrzeć. Tylko czekałam na jej urodziny. Gdybym zrobiła coś takiego bez okazji to na pewno byłaby wściekła, a tak miałam wytłumaczenie.
- Mi by coś takiego nie wpadło do głowy, chociaż też mam pieniędzy w bród. Ile przehułałaś?
- Trzy tygodniówki, ale kupiłam też kilka rzeczy dla siebie.
- Trzy tygodniówki?! Czyś ty zwariowała kobieto? Co kupiłaś dla siebie?
- Nie zwariowałam. Kupiłam glany, kilka bluzek, perfumy, trochę kosmetyków...
- Boże! Ja bym nigdy nie wydała na prezent trzech tysięcy złotych.
- A ja tak.
Paulina uśmiechnęła się i tym samym zakończyła dyskusję. Rozmawiały jeszcze dwie godziny i razem oglądały to, co kupiła Bożena. Było tego sporo.

Wiele różnych naszyjników we wszystkich kolorach tęczy, różne opaski, gumki, spinki, klamry, kilka torebek i toreb, i nawet plecak szkolny. Wszystko było naprawdę ładne, ale bez wątpienia najładniejszy był prawie metrowy, pluszowy anioł.

Wieczorem, gdy musiały się już pożegnać robiły to jak zwykle z niechęcią. Tym razem żegnały się na bardzo długo, ponieważ Bożena wyjeżdża do Anglii i nie wiadomo, kiedy wróci. W domu zostawia dwóch braci bliźniaków. Po całym pożegnaniu Paula wykapała się i zasnęła. Śniła jej się, że jest księżniczką. Pewnego pięknego dnia pojawił się jej ukochany książę Patryk na białym koniu - Śnieżynce. Pocwałowali w odległą dal. Przyjeżdżali przez łąki, pola, lasy, góry i różne krainy. Zawsze uśmiechnięci rozsiewali wokół siebie szczęście i radość. Dojechali do polany ukrytej wśród drzew. Paulina bardzo chciała się zatrzymać, nawet błagała o to, Patryka, ale on był nieugięty. Jechali dalej i w pewnym momencie Paula spadła z konia. Dziewczyna po raz kolejny obudziła się ze strachem. Zawsze było tak samo. Popatrzyła na zegar. Była 10:00. Postanowiła jeszcze poleżeć i pomyśleć. Sen powracał do niej od kilku tygodni. Widziała dokładnie twarz księcia, ale nie miała pojęcia, kto to może być. Sensu tego snu też nie rozgryzła. Może spotka swojego księcia, a on ją porzuci? Teraz skupiła się na marzeniach o feriach. Już w poniedziałek wyjedzie do swojego kuzynostwa w Kołobrzegu. Cieszyła się na spotkanie z nimi i z ich końmi. Uwielbiała konie i wszystko, co z nimi związane. Wreszcie postanowiła wstać, ponieważ była już 11:00, a na 15:00 Malwina wyprawiała swoje urodziny. Paula oporządziła się, zjadła śniadanie i zapakowała prezent. Do 14:15 pisała swoje nowe opowiadanie, potem przebrała się i poszła do Malwiny...

- Wszystkiego najlepszego! - wykrzyknęła Paula i podała Malwinie prezent.
- Dziękuję bardzo, ale...
- Dzisiaj jest kolejny dzień, bez „ale”.
- Wejdz dalej. Ślicznie wyglądasz.
- Dziękuję. Ty też. Jest już ktoś?
- Nie. Ty jesteś pierwsza.
- Mai bardzo cię proszę zmien bluzkę, bo ta nie pasuje do tej spódnicy.
- Dobrze. Na którą?
- Na tę.

Paula wyjęła z jej szary bluzkę i podała koleżance. Po chwili zaczęły przychodzić zaproszone osoby i nie mogły przestać komplementować wyglądu Malwiny. Dziewczyna skromnie mówiła, że to wszystko zasługa Pauliny. Bawili się świetnie. Paula wieczorem pomogła posprzątać koleżance i do domu wróciła dopiero po dwudziestej trzeciej. Jej matki jak zwykle nie było jeszcze w domu.

- Pewnie jest na kolejnym przyjęciu i dobrze się bawi udając, że jest młoda i nie ma żadnych dzieci - pomyślała.

Jej matka nigdy nie chciała mieć dziecka. A gdy powiedziała swojemu chłopakowi, że jest w ciąży, ten wziął nogi za pas i uciekł. Paulina nie wie, kim

był i co się z nim dzieje. Poszła spać i zanurzyła się znowu w krainę księżniczek i książąt.

Następnego dnia obudziła się ze strachem. Był wczesny rano, czyli dla Pauli godzina 8:15. Postanowiła, że zaśnie z powrotem, lecz sen nie przychodził. Zrezygnowana sięgnęła po książkę i zaczęła czytać. Gdy w końcu wstała, zaczęła się pakować. Następnego dnia o 7:00 miała pociąg. Gdy o 15:30 wpała do niej Malwina ciągle była w piżamie i w połowie pakowania.

Praktyczna Mal spakowała ją w pięć minut i jeszcze zostało sporo miejsca.

- Dzięki ci Mal. Ja bym siedziała z tym do nocy.
- Nie ma, za co. Przyszłam podziękować ci za prezenty.
- Nie ma, za co.
- Naprawdę było mi trochę głupio.
- A nie powinno.

Dziewczyny długo rozmawiały, a kiedy Malwina poszła, Paula była już zmęczona. Zjadła kolację i położyła się spać. Następnego dnia musiała wstać o w pół do szóstej. Znowu przyśnił się jej ten sen. Tym razem był odrobinę dłuższy. Paulina spada z konia, a Patryk jedzie dalej nawet się nie odwracając. Nogę przeszył jej okropny ból i dziewczyna się obudziła. Na zegarku była 5:20. Szybko wstała i obrała się. Nie miała, co liczyć na matkę, bo wróciła znowu po pierwszej. Pobiegła prędko na stację, by zdążyć na kolejkę. Udało się jej. Zajeżdżała do Wejherowa skąd miała bezpośrednie już połączenie z Kołobrzegiem. Wsiadła do pociągu i zaczęła słuchać muzyki. Słuchała wyłącznie ostrego rocka i metalu. Podróż upłynęła jej szybko. Ze stacji do domu kuzynostwa miała trzy kilometry. Poszła na pieszo, bowiem nikt nie wiedział, kiedy przyjedzie. Znali jej fanaberie. W pół godziny zaszła na miejsce. Pierwszy zauważył ją kuzyn. Od razu wybiegł jej na spotkanie i wziął od niej plecak.

- Kogo ja tu widzę? Jak podróż?
- Też się cieszę, że cię widzę. Szybko minęła.
- Stęskniliśmy się za tobą. Długo cię tu nie było.
- Pół roku to dużo?
- Jakie pół roku? Co najmniej rok?
- A wakacie to, co?
- Ten jeden dzień? To się nie liczy.
- Paulina! Przyjechałaś nareszcie!
- Cześć Madzia.
- Nie byłaś u nas cały rok. Ładnie to tak?
- Powiedziałam już Tomkowi, że to było tylko pół roku.
- Ten jeden dzień się nie liczy - Paula na te słowa tylko pokręciła głową.
- Zniosę plecak do mojego pokoju, a ty idź się przywitaj z mamą. Będzie szczęśliwa jak cię zobaczy.
- Pójdę z tobą - zaoferowała się Magda.

Magda chciała skłonić Paulę do zwierzeń, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo z domu wyszła jej ciocia.

- Cześć ciociu! - zawołała i rzuciła się jej na szyję.

- Na ile zostajesz?

- Na tyle na ile ciocia pozwoli.

- Możesz zostać na zawsze.

- Mnie nigdy tak entuzjastycznie nie witasz - wtrącił się z udawaną pretensją w głosie Tomek.

- Mam cię uściskać?

- Nie tylko nie to! - zawołał z rozpaczą. Wszyscy roześmieli się.

- No to na ile zostajesz? - wróciła do tematu Małgosia.

- Na trzy, cztery dni.

- Tak krótko?

- Jadę jeszcze do Łysej Polany. Muszę odwiedzić znajomych. Może jak będę wracała to przyjadę jeszcze na jakieś trzy dni. To będzie tydzień w umiarkowanych dawkach.

- Idźcie dziewczynki teraz sobie porozmawiać. Może jesteś głodna Palinko?

- Nie ciociu.

- Ja jestem głodny mamusiu. Zrobisz mi jedzonko?

- Sam sobie zrób.

- Wyrodna matko. Zesłałabyś syna na śmierć głodową.

- Naprawdę? Zastanawiam się, kto godzinę temu zjadł obiad z dokładką?

- Musiałas mnie z kimś pomylić.- Po tej wypowiedzi Paula nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Wszyscy do niej już po chwili dołączyli. Tomek z mamą zawsze się wygłupiali. Ich stosunki były pełne miłości. Ciocia Małgosia, Madzia i Tomek tworzyli zgraną drużynę. Oni też wychowywali się bez ojca, tyle że ich umarł na raka, gdy Madzia miała dwa latka, a Tomek i Paula po trzy. Paulina patrzyła na nich z boku. Przyjeżdżając do nich czuła się jakby wracała z długiej podróży do domu. Ona nigdy nie miała domu, ani matki. Dla niej to tylko obcy dom i obca osoba, która ją urodziła.

- Coś ty taka zamyślona? - spytała Magda.- Chodź. Idziemy stąd, a oni niech dalej małpują.

- Możemy wziąć konie i pojechać do naszego zakątka?

- Jasne. Mamo weźmiemy Karego i Monę.

- Oczywiście. A ty Tomek wracaj do swoich zajęć. Taka przerwa ci wystarczy.

- Oczywiście mamu. Już pędzę.

Dziewczynki poszły do stajni i osiodłały konie. Gdy już dojechały do ich zakątka, przywiązały konie do drzew. Usiadły na pieńkach i Magda zaczęła ją wypytywać.

- No i co tam? Opowiadaj, co tam słychać.

- Nic nowego. Zrobiłam metamorfozę Malwiny jako prezent na urodziny.
- Pewnie same markowe butiki. Mam rację? - Paula skinęła głową - Ile wydałaś?

- Nieważne.

- A jak wy?

- Tak jak zwykle.

- To musi być straszne.

- Przyzwyczałam się.

Dziewczyny długo rozmawiały. Nagle zadzwoniła komórka Magdy.

- Cześć braciszku.

- Magda mama się boi. Jest już ciemno, nie widzisz tego?

Teraz dopiero zauważyłam. Straciłyśmy poczucie czasu. Zaraz przyjedziemy. Byle by szybko.

- Nie zrzedź braciszku. No to hej - skończyła rozmowę dziewczyna. Oby dwie wiedziały, że będą musiały gęsto się tłumaczyć. Mama rodzeństwa była bardzo przewrażliwiona na punkcie późnych powrotów do domu. Na szczęście były we dwie. Dzięki temu nie będzie, aż takich wymówek. Małgosia wie, że jak one się zagadają to nie zważają na nic.

Po powrocie do domu zjadły kolację i wysłuchały kazania, a Tomek się z nich nabijał. Rodzeństwo zostawiło swoją matkę z Pauliną na dwie godziny. W tym czasie Małgosia wyciągała z Pauli informacje, a Magda przekazywała wiadomości o Pauli swojemu bratu. Potem dziewczyny przegadały całą noc. Rano musiały zająć się swoimi obowiązkami. Paula poszła z Tomkiem do sklepu, ponieważ Gosia potrzebowała dużo zakupów. Tomek nie lubił chodzić do sklepu, więc wysłała z nim Paulinę na pocieszenie.

- Tomek hej! - zawołał ktoś za nimi. Chłopak obrócił się i jego towarzyszka też. Chciała zobaczyć, kto im przeszkadza w rozmowie. Gdy zobaczyła jego twarz zdziwiła się. To był chłopak z jej snów.

- Cześć. Paula to jest Patryk, Patryk to Paulina. Patryk często jeździ u nas na Śnieżynce - podali sobie ręce.

- Cześć.

- Cześć. Co ty robisz w mieście chłopie? Nie często idzie cię tu spotkać.

Matka wygnała nas po zakupy.

- I dobrze zrobiła. Tak jesteś zafascynowany końmi, że nawet ze mną porządnie nie porozmawiałeś - wtrąciła żartem Paula.

- Ja cię przepraszam. Czy to ja pojechałem na cały dzień z moją siostrą niewiadome gdzie? - spytał z groźną miną.

Wszyscy roześmieli się. Patryk porozmawiał z nimi chwilę, a przy sklepie pożegnał się i poszedł w swoją stronę.

W drodze powrotnej Paula spytała kuzyna, kim jest ten Patryk. Dowiedziała się, że jest on dwa lata starszy, uwielbia Śnieżkę i jest dla niej naprawdę dobry. Paula zwierzyła się Tomkowi ze swojego snu. Przyrzekł, że nikomu nie powie.

Następnego dnia Paulina pakowała się. Wyjechała późnym wieczorem. Kuzyn bał się o nią. Zawsze zachowywał się jakby był jej starszym bratem. Niestety nie mógł się nawet poszczycić, że jest starszy, bo choć urodzili się tego samego roku, miesiąca i dnia, to Paula dwie minuty wcześniej. Wypominała mu to przy każdej okazji.

Rano była już w Zakopanem. Stamtąd autokarem dostała się do Łysej Polany. Bartek i Malwina nie spodziewali się jej. Zadzwoiła do drzwi. Otworzył jej Bartek w pidżamie. Przytarł oczy i z okrzykiem:

- Ja śnię, ale nie chcę się obudzić! - pochwyił dziewczynę w ramiona i zakręcił nią dookoła. Paula zapiszczała.

- Puść mnie! Nie śniesz, a ja zaraz zwrócę śniadanie.

- Życie jest piękne. Nie podzielę się tobą z Kasią, bo ona zaraz mi cię zwinie. Choć na śniadanie.

- Opowiadaj, co tam u ciebie.

Przyjaciele jedząc wymieniali się opowieściami. Potem przenieśli się do salonu na kanapę i dalej rozmawiali. Minęły cztery godziny zanim na dół zeszła Kasia.

- Ja śnię! Paula! To naprawdę ty?

- Śniesz. To nie ja, ale mój duch. Dziewczyny padły sobie w ramiona.

- Ile czasu już tu jesteś?

- Cztery godziny.

- I nikt mnie nie obudził? To jest niesprawiedliwe! Bartek ty gnido.

- Nie denerwuj się siostra. Wieczorem robimy ognisko. Będą wszyscy.

- A u kogo? - spytały obie w tym samym momencie.

- U Łysego. Będzie też Szybki, Maja, Max, Kinia, Zyga, Linka, Sylwia, Młody, Nika, Seba i Krystek.

- Wyśmienicie! Cała banda w komplecie.

- Nawet nie wiecie jak oni się cieszą, że Paulina przyjechała.

- Ja też się cieszę. Teraz wybacz, ale muszę coś zjeść. Chcesz też?

- Nie dzięki. Już jadłam.

Kasia poszła do kuchni i w tym momencie zadzwonił telefon Pauli.

- Tak słucham?

- Palinko, tu ciocia Małgosia. Muszę ci coś powiedzieć - mówiła łamiącym się głosem.

- Ciociu, co się stało?

-Twoja mama...

- Co ona...?

- Zginęła w wypadku... Musisz wracać do domu.

- To nie jest prawda. Ciociu powiedz, że dzisiaj Prima Aprilis! - zawołała zrozpaczona. Czasem miała już dość swojej matki, ale nigdy nie chciała, by ta umarła. To był dla niej wielki szok.

- Niestety Palinko. Może Tomek po ciebie przyjedzie?

- Nie! Wrócę sama. Dziękuję za wiadomość. Zaraz mam połączenie.
- Trzymaj się Paulinko. My też zaraz wyjeżdżamy.
- Do zobaczenia.
- Cześć.
- Paula, co się stało? - zapytał zaniepokojony Bartek, gdy Paulina rozpląkała się.
- Moja mama... Zginęła... W wypad... Muszę... Wracać.
- Przykro mi. Nie powinnaś jechać w takim stanie - przytulił - Muszę...
- Za pół godziny masz autobus, a potem pociąg. Odprowadzę cię.
- Dzięki...

Paula wróciła do domu. Zastała tam całą rodzinę pogrążoną w smutku. Dowiedziała się, że matka zginęła w wypadku motocyklowym. Jechała ze swoim nowym chłopakiem bez kasku. Dowiedziała się też, że on jest w stanie śpiączki.

Anastazja niestety zginęła na miejscu. Kierowca samochodu ma złamaną nogę, rękę i kilka siniaków. Gdy odbyły się pogrzebowe uroczystości i cała reszta, Paula pakowała się na górę. Na dole w salonie toczył się spór o to, u kogo dziewczyna ma mieszkać. Do wyboru były cztery opcje. W domu dziecka, na co nikt nie chciał się zgodzić, u Luizy, u Małgosi i u ich matki, a babci Pauliny. Po dwóch godzinach narad wezwano Paulinę do salonu. Krótkie przemówienie zaczęła jej babcia.

- Jak wiesz dyskutowaliśmy nad tym, u kogo masz teraz zamieszkać. Po długich i burzliwych naradach zdecydowaliśmy, że zamieszkasz u... u Małgosi, proszę u Małgosi - modliła się w Paula - ... Małgosi.

Paula tylko kiwnęła głową, ale bardzo cieszyła się w duchu.

- Pójdę dokończyć pakowanie - powiedziała tylko i już jej nie było.

Trzy godziny później pożegnawszy się z wszystkimi wyjechali. Całą podróż Paulina przespała. Potrzebowała tego snu. Gdy już przyjechali na miejsce i Tomek zaczął wносить jej rzeczy do pokoju, Małgosia przytuliła ją do siebie i szepnęła:

- Teraz tu jest twój dom. Postaramy się abyś była szczęśliwa. Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Ja też się cieszę ciociu.

- Idź kochanie i się porządnie wyśpij.

- Idę, to mi się przyda.

- Tu na pewno będę szczęśliwa. Zawsze byłam tu kochana - tak pomyślała i zasnęła.

Potem jej życie miało jak z bicza strzelił. Jej sen spełnił się. Wyjechała z Patrykiem na długą przejażdżkę. W końcu spadła z konia, a on nawet się nie zatrzymał. Ze złamaną nogą znalazł ją Tomek, który zaniepokoił się, gdy Patryk wrócił sam. Zdążyła już przebyć pół drogi do domu. Musiała niestety dwa tygodnie leżeć w łóżku. Patryk więcej nie pokazał się w stadninie, a w szkole unikał Tomka i jego kolegów. Paulina była popularna i bardzo lubiana w szko-

le. Oprócz tego incydentu z Patrykiem w życiu układało się jej dobrze. Była otoczona miłością i przyjaźnią. Niczego jej nie brakowało, tylko czasem tęskniła za imprezowym życiem swojej mamy. W pamiętniku pewnego dnia napisała: „Kocham życie i ludzi, którzy mnie otaczają...”

I ŻYŁA DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE.

Karolina Rost

III nagroda w kategorii młodzieży

list

napiszę do ciebie list długi
na niebieskiej jak niebo papeterii
opowiem ci co się zdarzyło
i o tym co mi się kiedyś śniło
napiszę list długi
na czerwonej jak maki papeterii
zapytam jak ci się wiedzie
i będę życzyła byś zdrowa była
napiszę list bardzo długi
na żółtej słonecznej papeterii
opowiem ci o mych marzeniach
tych realnych i tych mniej realnych
napiszę list długi
zaadresuje i wyślę
krótką odpowiedź dostanę
nie smucę się bo któż
ma czas by długie pisać listy
tylko ja- niepoprawna romantyczka
która nie może spać nocą

Karolina Rost

II nagroda w kategorii młodzieży

* * *

W klatce czasu
W cieniu słów
czarny jak mrok w biały dzień
jestem ja
słucham z zachwytem i łzą w oku
przepływającą po twarzy
jak potok płynący z góry
wzruszenie w podnieceniu
tysiąc słów to za mało
dla określenia co czuję
słuchając ciebie
szczęście- być może
radość- dlaczego nie
smutek- czasami
barwą głosu którą mówiłaś do mnie
o poranku zachwycałaś mnie
ale to za mało
dlatego odszedłem bez pożegnania
aby teraz by szczęśliwym i wolnym
na zawsze.

Marcin Pelcer

Opowiadanie o chłopcu, który udał się w podróż na koniec świata.

Przeczytaj je proszę.

A niebo było niebiesko-granatowe i było zrobione z jednej wielkiej chmury: wypukłej, gładkiej, ołowianej. Została stworzona po to, żeby na skutek zimna spaść na ziemię w formie śniegu. Śnieg śnił mu się zawsze w sierpniu. To też jest sen? Ludzie gdy dotkną czegoś gorącego-odsuwają rękę, gdy ktoś chce ich uderzyć -uciekają, a gdy widzą przepaść cofają się. Nasz bohater budząc się w miejscu takim jak to powinien natychmiastowo wstać, krzyczeć o pomoc i robić wszystkie te inne rzeczy, które robi się by zwiększyć swoje szansę na przeżycie. Tymczasem on odnajdywał coś przyjemnego w tej zupełnej rezygnacji, przekonaniu że nie o nic nie trzeba już walczyć, szarpać się. Jest jednak taki moment w którym zimno zaczyna boleć. Biały śnieg na bezkresnej równinie-wyglądało to tak jak gdyby nigdy nie stanęła tutaj stopa ludzka. Czarne tory i czarne słupy trakcji elektrycznej. Ach więc jacyś ludzie byli tu kiedyś. Wpa-trywał się w to wszystko obojętnie, z poczuciem całkowitego wyobcowania. Nie był już człowiekiem. Zespolił się najwidoczniej ze śniegiem. Zrobiło mu się obco. Nie to nie tak. Myślał przecież. A czy śnieg myśli? Z mroku wyłaniał się obraz odległej stacji kolejowej. Spróbował wstać. Nie udało się, ale przynajmniej zmienił pozycję. Zastanawiał się co tu robi. Nie wiedział. Może ktoś po niego przyjdzie? A jeśli nie... to cóż. Zgubił mu się nagle wątek. Znow spróbował wstać. Zrobił kilka kroków. Spojrzał na swoje dłonie-czerwone od zimna. Wyciągnął palce przed siebie i przestał dostrzegać cokolwiek innego. Obraz torów zmył się mu z obrazem własnych palców. Przed oczyma pojawiły się czerwone plamki. Znow upadł.

Przypomniało mu się jak to było kiedy był małym chłopcem. Miał właśnie siedem lat i jak zresztą zawsze mieszkał z rodzicami w bloku. To wiedział na pewno. Reszta historii, która mu się właśnie objawiała była co najmniej podejrzana. Bał się - stopniowo coraz bardziej i bardziej. Strach przychodził z całego mieszkania, może i nawet całego osiedla i kumulował się w jego żołądku. Nie-kiedy brał głęboki oddech by na chwilę się uspokoić, spokój pękał jak mydlana bańka i znowu zaczynał się bać.

- Mamo proszę... nie idź... Tata powiedz jej że będę najlepszy na świecie. Na zawsze - na ten czas nie mógł wymyślić nic bardziej przekonującego. Mądrzejsze słowa jakimś dziwnym sposobem zostawały wewnątrz, a słychać było

tylko te najgłupsze. Rodzice stali ubrani w ortalionowe płaszcze i nie było już odwrotu. On się bał, a im wydawało się to śmieszne. Tak! Słusznie! Bo nie ma czego się bać!

- Zobaczysz, zobaczysz! - mówiła na pożegnanie matka, zanosząc się śmiechem. - Im bardziej się boisz tym bardziej ON po ciebie przyjdzie!
- Nie wiedzieć czemu idiotyczne zachowanie syna śmieszyło dziś wieczorem kobietę. Mówiła wszystko z szelmowską miną, mrugając porozumiewawczo do ojca.

- Po co ci to było..., teraz masz...- warknął mężczyzna - Chodź już - zażądał.

Chłopczyk zaś, słysząc to wszystko trząśniętym głosem i bladł coraz bardziej. Ale teraz nie było co prosić i błagać, bo drzwi zostały zamknięte na klucz a rodzice odeszli już daleko. Chłopcu było zaś tylko głupio, że po raz kolejny pokazał że jest mazgaj. Wstyd mieszał się u niego z lękiem, który przeistaczał się w paniczny strach. I mimo ostrzeżeń przed TYM, który przychodzi, gdy się go boją-bał się coraz bardziej. Postanowił, że tej nocy na wszelki wypadek nie będzie spał.

Trzęsącymi się łapkami próbował wyciągnąć landrynki z kieszeni. Ale wszystkie się posklejały i nie potrafił już nic z tym zrobić. Postanowił porysować swoimi nowymi kredkami świecowymi. Rysowały mu się same straszne rzeczy, więc porzucił tę zabawę. Może by tak zająć się czymś jeszcze innym. Byle nie myśleć. Byle się już nie bać. Przyszło mu wtedy na myśl, żeby posłuchać radia Lepiej! Bo nałoży wielkie słuchawki UNITRY i schowa się cały pod granatowym kocem. Jak strzała pobiegł do pokoju. Wyjął pudełko ze słuchawkami i podłączył je do radia. Kabel był wystarczająco długi żeby przenieść to wszystko do łóżka. Dobrze jest. Chłopczyk szybko schował się pod ciemnym kocem. Zielona kontrolka radia migiała mu przed oczyma. Włączył odbiornik, następnie zatrzymał wzrok przed tunerem. Nie widział podziałki fal radiowych, zaczął więc na ślepo słuchać kolejnych stacji. Pierwsza z nich była najwidoczniej przeznaczona dla starszych ludzi, których nikt nie chce słuchać. Dzwonili do rozgłośni i przekonywali się nawzajem o wielkim spisku przeciw nim. Chłopczyk za bardzo nie rozumiał o co chodzi starszym ludziom. Byli zdenerwowani, udręczeni życiem i w euforii czy też w szale chcieli wykrzyczeć całe osiemdziesiąt lat swojego życia, które jakoś im nie wyszło. Szybko zmienił fale. Kolejny program nadawał irytujący koncert muzyki poważnej. Jednostajny dźwięk wkręcał się w mózg. Chłopca zaczęła boleć głowa. Przekręcił gałkę kilka stopni w prawo. Dawali piosenkę, którą powtarzali ostatnimi laty w nieskończoność. Szukał dalej. Zdarzało mu się natrafiać na hałasy i krzyki, a gdy kończyła mu się podziałka zaczynał szukanie od początku. W końcu postanowił przełączyć radio na fale długie. Dwóch spikerów rozmawiało ze sobą po węgiersku. Chłopiec żałował, że nic nie rozumie bo obu tych panów niezmiernie śmieszyła ich rozmowa. Zazdrościł tysiącom Węgrów, którzy mieli tyle powodów do radości. Szukał dalej. Pani mówiąca po francusku opowiadała coś kojącym głosem. Ale co? Tego chłopczyk nie wiedział. Ale to musiało być coś nie-

zmiernie ciekawego. Trafił też na angielski program, przerywany urywkami z muzyki filmowej. Ech, gdyby tak potrafił mówić w jednym z tych języków. Ale trudno...! wtedy między szumami zaczął słyszeć ten głos. Ucieszył się na początku bo było po naszymu. Ale coś było nie tak.

Wiadomość powtarzała się ciągle i ciągle. Wyrównał, tak by lepiej słyszeć. Zrzucił słuchawki z uszu. Ach, po co on to radio uruchamiał?! A może mu się tylko to wydaje? Włożył słuchawki z powrotem. „Traktuj to poważnie. Stoję przed drzwiami.” Wyłączył radio. Najlepiej pójść i sprawdzić. Za drzwiami oczywiście nikogo nie będzie. On wróci do pokoju i postara wymyślić sobie nowe zajęcia. Też pomysły takie audycje nadawać! Takim to powinno się obierać! A za drzwiami nikt nie stoi! Co za głupie pomysły! Zaraz udowodnię, że tam nic nie ma! Tylko się trochę uspokoi... Głęboki wdech... Najpierw trzeba wyjść spod koca. Żaden wysiłek. Teraz wyjdzie z pokoju. No ile razy to już wychodził z pokoju? Na korytarzu panował zmrok. Zobaczył, że w przestrzeni pomiędzy drzwiami a podłoga widać smuzkę światła - więc na klatce schodowej pali się żarówka. A co to sąsiedzi nie mają już prawa chodzić wieczorem po schodach? Nic w rym nowego i straszego! Tak cicho jest... Podeszedł do drzwi, za którymi nic nie ma prawa stać. Wyrzwał przez wziernik. Nagle jego twarz zbladła; krzyknął i schował ją w dłoniach.

Schody były jasne od silnego światła jarzeniówek. Przed drzwiami stał ON. Wyglądało to tak, jakby ktoś w zdjęciu wyciął postać człowieka a potem to samo zdjęcie położył na czarnym brystolu. Niby człowiek-te same kształty i rozmiary, ale przecież był całkowicie pozbawiony kolorów. Idealnie czarna postać od której nie odbijało się światło. Stał oto z wyciągniętą ręką w której trzymał jakiś drobny przedmiot

- Precz stąd! Nikt obcy nie wejdzie do mojego domu! - chłopiec wrzeszczał na to co zobaczył. -Nie wiem skąd się żeś tam wziął! Idź już! Zostaw mnie w spokoju! - i oto w niewyjaśniony sposób ręce same, bez wyraźnego rozkazu nacisnęły na klamkę i pchnęły drzwi. Kiedy zorientował się co zrobił zemdłał ze strachu.

Znaleźli go rano rodzice. Chłopczyk myślał, że nie wytrzyma krzyków, wyzwisk i oskarżeń które dochodziły od obojga pod jego adresem. A przecież mówił i zaklinał na wszelkie świętości, że to prawda była. Że nie zostawił drzwi otwartych, ani tym bardziej nie zemdłał tylko dlatego by „po raz kolejny zderwować swoją matkę”.

- Był tu naprawdę!! - powtarzał, ale i tak nikt go nie słuchał.

- Nikogo tu nie było kretynie! - wrzeszczeli na zmianę rodzice.

Chłopiec przypomniał sobie o przedmiocie, który poprzedniej nocy trzymał w ręku ON. Wybiegł na korytarz. A może tak coś zostawił? I wtedy rodzice uwierzą?! Rozejrzał się, ale nic nie znalazł. Dopiero gdy stanął frontem do drzwi zobaczył dowód. W framugę wbite było kilka szpilek, gwoździ i żyłek. Dziecko by tego nie zrobiło. Żaden zwykły człowiek również nie. Więc kto?

Obudził się. Trochę jeszcze był w bloku, trochę leżał twarzą w śniegu. Śnieg stawał się coraz bardziej prawdopodobny. Znowu wstał. Musiał spać krótko bo nadal było dosyć ciemno.

- Co ja tu robię - mamrotał pod nosem - Ohydne... ohydne. Jak mi zimno.

Był brudny i mokry od błota pośniegowego. Na dodatek to zimno. Teraz, gdy zaczął odczuwać temperaturę-nie było już nic prócz zimna. Szedł bezwiednie wzdłuż torów, lecz gdy zdał sobie sprawę, że nie ma dokąd iść, że właściwie nie pamięta gdzie mógłby pójść-usiadł bezradnie na zbocza torowiska i zaczął patrzeć w pierwsze promienie słońca. Przecież słońce jest ciepłe... Jego tętno stawało się coraz słabsze. Pochylił się i stoczył z podtorza. Znow znalazł się gdzie indziej. Teraz stał na szkolnym korytarzu. Sam. Ukrywał się przed innymi dziećmi z jego klasy. Upodobał sobie miejsce pod schodami na pierwsze piętro. Nikt tutaj nie zaglądał, było ciemno i niewygodnie. Ale było bezpiecznie. Zauważył, że sprzątaczkę wstawiły do jego schronu jukkę. Roślina nie była podlewana od wielu dni, na jej liściach zalegały warstwy kurzu, ktoś powrzucał papierki po cukierkach i niedopałki papierosów do doniczki, od braku światła roślina pożółkła i zmarniała. Roślina nie pasowała do gęstych paprotek, które stały swoim roślinnym zwyczajem na parapecie głównego korytarza. Postanowiono więc jukkę ukryć pod schodami i udawać, że problemu nie ma. A przecież jukka to szlachetniejsza roślina od paprotek. Jakby nie było, to w końcu gatunek Lili z Ameryki Południowej. Nie jest gorsza, od paprotek. Jest po prostu zaniedbana. A to istotna różnica. Paprotki miały po prostu szczęście, bo ktoś o nich pamiętał.

- Wezmę ją do domu i uratuje - zbuntował się - Teraz będzie miał celuratuje jukkę.

Ostatnie trzy lekcje ciągnęły się w nieskończoność. Wydawało mu się, że jukka zaraz, może nawet już teraz umrze.

- Wytrzymała tyle tygodni. Wytrzyma jeszcze dwadzieścia minut. Jeszcze osiem. Jeszcze trzy. Zaczekam, aż wszyscy pójda do domu. Po co im dawać kolejny powód do nabijania się-przekonał siebie do cierpliwości.

Kiedy siedział tam pod schodami i czekał, aż zostanie sam, czuł że życie zaczyna nabierać sensu. Świat zmienił się na lepsze. Chłopiec uśmiechnął się do siebie. Spojrzał na zegarek.

- Można już iść.

Ubrał granatowy ortalion z czerwonym znaczkiem "ACCO SPORT" i zielone rękawiczki. Zarzucił zniszczony plecak, ostemplowany logiem jogurtu. Rozejrzał się jeszcze raz i zabrał się do wynoszenia jukki. Doniczka okazała się cięższa niż oczekiwał. Jukka, źle osadzona w glebie, chwiała się to w lewo, to w prawo. Nie ważne, zaraz przesadzi ją do nowej. Byle minąć bramy szkoły, byle nikt go nie zauważył. Jeszcze dziesięć metrów. Prawie się udało. I wtedy usłyszał krzykochrzęst woznego.

- Gdzie złodzieju niesiesz tego kwiatka! Do ciebie mówię gówniarzu! Wracaj tu!

Zastanowił się przez moment, czy zatrzymać się i wyjaśnić sprawę, czy też ryzykować bieg z chwiejącą się jukką. Zatrzymał się i odwrócił w stronę woźnego.

- Gdzie niesiesz tego kwiatka? - zatrzeszczał woźny.

Chłopak ułożył sobie w myślach całą odpowiedź. Wytłumaczy woźnemu, że gatunek Lilii, który potrzebuje innych warunków do rozwoju niż ma pleśń na ścianie, a wtedy będzie to najpiękniejszy kwiat na świecie. Ale powiedział co innego.

- To na biologię było.

- A to dobra. Myślałem, że ze szkoły wynosisz. Ostatnio mi tu taki jeden z drugim chcieli wykładzinę wynieść. Myślałem, że ty też.

- Nie proszę pana, nie potrzebuję wykładziny - odpowiedział grzecznie chłopak. Odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia. Skłamał. No trudno. Jakby nie skłamał, to jukka byłaby stracona. Gradacja wartości - pamiętaj - gradacja wartości. Był już na swoim osiedlu, kiedy wypatrzyli go koledzy z klasy. Inaczej być nie mogło. Polowanie czas zacząć. Czy oni muszą być wszędzie? Śledzić każdy jego krok? Decydować za niego co może, a czego nie? Gdyby było ich trochę mniej... Może udałoby mu się uciec? On nawet wiedział, od czego zacząć: „Debilu, to twoja nowa dziewczyna... ?”.

- Debilu to twoja nowa dziewczyna? - zaczął ogromny chłopak z niekształconą twarzą.

Uwaga osiedlowych szaleńców nie zaskoczyła go wcale. To było zupełnie w ich stylu. Przyjął ją w milczeniu. Spokój i koncentracja - tylko tyle może teraz zrobić.

- Co za debil... Jaaa! - dołączył kolejny kolega: blondyn z lekkim niedorozwojem, nie wiadomo dlaczego zawsze śmierzący rybami.

- Gdzie ją kupiłeś? W warzywniaku?

Horda wyła coraz głośniejszą i z coraz większą pasją swoje odwieczne, Jaaa!". I jak on teraz wie, że chłopak w markowej bluzie rzuci w jukkę piłką od koszykówki. Jak on teraz wie, że jukka upadnie na chodnik. Jak on wie, że teraz rzuci się na roślinę i zaczną po niej skakać. Jak on to wszystko wie.

Nie stój tak! Bierz co zostało i biegnij do domu. Albo - rzucił się na ziemię by ratować jukkę. Oberwał kilka kopniaków, ale to nic, dostał w plecak. Jukka bez doniczki była o wiele lżejsza. Dobiegł do klatki. Klucze! Są! Teraz otworzyć główne drzwi! Żeby to tylko był ten klucz. Proszę, proszę... Tylko ten jeden raz! Pasuje, to ten. Ale już są za jego plecami. Któryś się potknął. Drzwi zatrzasnęły się za chłopakiem. Teraz do mieszkania na czwartym piętrze. Żeby tylko nie było rodziców. Są. Trudno. Może nie zauważą. Nie chce mu się tłumaczyć po co mu ta jukka. I tak nie rozumieją. Rozłożył na biurku gazetę. Przyniósł z piwnicy odpowiednią doniczkę a z kwaciarni przyniósł torf i odżywkę do jukk. Już miał kończyć, kiedy zobaczył, że roślina jest pęknięta, tuż przy samych korzeniach. Łzy napłynęły mu do oczu. To już koniec. Musiała się złamać, gdy te dzikusy po niej skakały. Chłopiec nie mógł się jednak po-

zbyć poczucia winy. To on rozpoczął tą całą historię z rośliną. Mógł zostawić jukkę tam gdzie stała. Umarła by pewno niedługo... ale by jeszcze pożyła te kilka dni. Zabił jukkę. To wszystko przez niego! Wszystko jest bez sensu. I na co ten cały wysiłek?! To już koniec. Usiadł i płakał nad złamaną lilią.

Obudził go daleki odgłos. Czego? Krzyk? Raczej nie. Echa pracy jakiegoś mechanizmu. Wreszcie słońce wzniosło się nisko nad południową stroną nieba, przeszło ze stanu pomarańczowej palmy bez promieni w bezbarwną jasność. Stopniały śnieg, rozlany szeroko, zmieniał obliczę, ściemniał się z każdą minutą. Wyobraźcie go sobie tam, na tych mokradłach, wśród tego obcego otoczenia, ogromu przestrzeni. To najgorsze miejsce na ziemi. Trzeba iść. Trzeba iść. Tędy nie pójdzie. Trzeba wrócić na tory. Może wołać o pomoc? - Pomocy! - ale głupstwo. Nikt mnie tu nie usłyszy. Nikt nie pomoże. Jak ja wyglądam przecież! Muszę iść sam. Na nikogo nie mogę liczyć. Plan! Pomyśl co możesz teraz zrobić... Dojść do stacji. Tak! Tam musi być cieplej. Potem pomyśli co dalej. Trzeba iść. Ale Boże! Gdyby tylko nie było tak zimno! Stanął na torach, jednakże nigdzie nimi nie doszedł... Jego myśli potoczyły się dziwnym sposobem w przeszłość.

- Chciałbym rozmawiać z moją żoną - obudził się właśnie w kolejnym szpitalu. Wszystko na swoim miejscu. Koledzy dorośli. Koledzy mają TT 68. Koledzy mają volkswageny. Koledzy mają w sobie i na sobie dresy. Dlaczego mieli by go nie pobić do nieprzytomności? Takie Życie. On się tym nie przejmowała. Błękitne kafelki w sali której leżał nie przypominały prosektorium. Spadające liście i szare niebo nie były synonimem śmierci. Lekarze nie służyli tylko i wyłącznie do dobijania pacjentów. Będzie spokojny, przecież to nie on jedyny na świecie ma wstrząs mózgu i kilka złamań. Za kilka dni będą się z tego oboje śmiać.

- Chciałbym rozmawiać z moją żoną. Proszę - powiedział jeszcze raz do ludzi, którzy stali nad jego łóżkiem. Była tam jego powiedzmy że matka, lekarz prowadzący i stara smutna kobieta, najwidoczniej pielęgniarka. Matka patrzyła na lekarza z furją. Pielęgniarka została odesłana przez lekarza.

- Ja już nie mam siły do kretyna. Z jakiej racji ja mam się tyle lat użerać z tym idiotą. Ja mam swoje życie. Dla mnie się liczy tylko jedno słowo: spokój. Możecie sobie wziąć tego wariata! Czy ktoś mógłby wreszcie zrozumieć co jest dla mnie istotne?.

Oczy lekarza zrobiły się wielkie jak pięcioletówki. Jeszcze nigdy nie widział, by matka krzyczała na swojego syna i wyzywała go od najgorszych z powodu choroby, co tu dużo mówić niezawinionej przez chłopaka. Wyrwał się z konsternacji i chciał uspokoić zirytowane babsko.

- Widzę, że jest pani zdenerwowana z powodu wypadku syna, ale źle ukierunkowuje pani swoje emocje - zaczął nieśmiało. Lecz, gdy i pod jego adresem została rzucona równie urocza wiązanka, stanowczo wyprowadził kobietę z sali pełnej obandażowanych kalek. Chłopak pomyślał sobie wtedy, że lekarze to porządni ludzie. Pomyślał też, że matka potrzebuje wakacji. Uśmiechnął się też na myśl, że niedługo zobaczy swoją żonę, przecież matka na pewno po nią pośle. Bo czemu by nie...

Rzeczywiście, po jakichś pięciu minutach do chłopaka przyszedł kolejny gość. Dama w średnim wieku. Ubrana w biały kitel. Spod uniformu prześwitwały a to pomarańczowy golf, a to spódnica w brązowe kwiatki. Patrzyła na chłopaka łagodnymi oczyma, ukrytymi pod szklami okularów w złotych oprawkach. Pani doktor przedstawiła się uprzejmie. Powiedziała, że jest psychiatrą i przyszła zapytać o kilka rzeczy, które pozwolą jej uzupełnić tą ankietę, co potrwa chwilkę i że proszę się nie denerwować. Wtedy pomyślał sobie, że gdyby to ona mogła być jego matka, to wówczas jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Skoncentrował się przez chwile na pytaniach. Chłopak wiedział jak ma na imię, jaki jest dzień tygodnia, co się stało wczoraj wieczorem i dzień się lat temu. Nie wiedział co z jego żoną. Wolałby jednak wiedzieć.

- A zatem... gdzie... jest moja żona? Chłopak zaczął się martwić. Może ją też dopadli. Kiedy? Może jej się też. Coś stało? Co jej jest?

- Dochodzę do przekonania, że teraz najlepiej będzie jeśli będziemy ze sobą zupełnie szczerzy - pani doktor przechyliła głowę i spojrzała na chłopaka ze smutkiem w oczach - Osoba, którą nazywasz swoją żoną... ona nigdy nie istniała. Najprawdopodobniej stworzyłeś ją sobie w swojej wyobraźni. Możesz zapytać się dlaczego ta się stało? Uważam, że przyczyna tkwi nie w tobie, ale w ilości tragedii które na ciebie spadły i w tym, że nie uzyskałeś nigdy realnego wsparcia ze strony bliskich. Twój umysł zareagował jak mógł najlepiej, w skrajnie traumatycznej sytuacji.

- Co pani... Jak pani może mówić takie rzeczy? Przecież to nie może być prawda co pani mówi. Pani po prostu nie zna mojej żony. Pani się myli. Przecież rozmawiałem z nią niedawno.

- Kiedy z nią rozmawiałeś?

- ...

- Przykro mi. Proszę się nie denerwować, to minie. To tylko taki system obronny. Rodzaj amnezji posttraumatycznej...

Nie słuchał już. Próbował przypomnieć sobie w jaki sposób może udowodnić istnienie swojej żony. Przecież bez niej... Nie mógł sobie jednak przypomnieć ani kiedy po raz ostatni z nią rozmawiał, ani nie wiedział jak ona ma na imię, ani gdzie pracuje, nią znał jej numeru telefonu. Więc rzeczywiście... Oni mają rację. Zwariował. Po prostu. Nigdy nie miał żony. Pewno też nigdy nie będzie jej mieć. I nagle szpitalna sala obłożona błękitnymi kafelkami zaczęła wyglądać jak prosektorium, świat był niedobry i pełen niebezpieczeństw... Ach! Jakie to szczęście, że było zbyt ciemno by zobaczyć martwe liście w przyszpitalnym parku. Jakie to szczęście.

Żałował, że przeżył. Bo po co on niby był? Jest tylko ciężarem dla wszystkich. Nikt go nie lubił, wszyscy go unikali. Otoczony był nienawiścią. Dlaczego? Nie robił przecież nic złego... kiedy inni popełniali ciężkie wykroczenia. Ilekroć chciał zrobić coś dobrego-nienawidzono go jeszcze bardziej. Ludzie rzucali się na niego w bezmyślnej furii. Dlaczego? Bo był słaby. I wszystko. Czasami jeszcze śni o niej. Budzi się płacząc. Nic więcej.

To, że jej nie spotkał nie znaczy, że jej nie ma.

Niemal nic nie było widać. Stał się jedną wielką potrzebą ciepła. Zebrał się w sobie, nareszcie ruszył z torowiska. Nie warto opisywać tej drogi. Na boczniccy stał opuszczony budynek. Pewno jakieś mieszkanie służbowe, trudno było to określić w mroku. Pracownicy musieli wynieść się stąd już dawno. Samotność, zupełna samotność. Natrafił stopami na coś zwalonego na podłodze. Jakaś miękka bryła. Wówczas go to nie interesowało. Wtedy była to tylko i wyłącznie przekłeta przeszkoda. Palcami wyczuł ścianę. Obszedł pokój dookoła, aż trafił na materac.

Przykrył się jakąś folią, papierem czy co to było. Porządny człowiek powinien brzydzić się takich miejsc. Powinien zrobić wszystko, żeby w obcym domu, przykryty odpadkami. Wraz ze zmęczeniem bunt przeciwko takiemu porządkowi rzeczy ustępuje. To już naprawdę staje się obojętne. Sprawdził palcami czy ma zamknięte oczy. Zasnął.

Rozpoczął się kolejny dzień, w którym tkwił na boczniccy. Kiedy myślał o poprzednim dniu był wściekły na siebie. To jest dzień w którym się stąd wyrwę. Wystarczy, że raz porządnie otworzę oczy. Wtedy zacznę nowe życie. Czuje się jak kawałek mięsa z rzeźni. Jednak czuję też promienie słońca na twarzy. To ważne. Myśl o tym. Myśl o tym żeby się obudzić.

Pierwszym obrazem z jego nowego życia był poobdrapywany sufit po środku z kablem zakończonym żarówką. Ściany wypełnione stłoczonymi napisami, krzyczały chaotycznymi przesłaniami. Nie był jednak w stanie ich rozczytać. Liter było za dużo. Irytowały jak światło stroboskopu. Wydawało się, że zmieniają położenie, gdy skoncentrować wzrok na któreś z nich. Pusty był fragment ściany, który otaczał umywalkę, a tylko dlatego, że był otoczony patchworkiem z brudnych kafelków i kwadratów z resztek cementu. Zlew wypełniony był wodą. Nie wodą. Substancją z rdzy, martwych owadów i śmieci unoszących się w wodzie. Co pod nimi? Nie wiadomo. Coś jeszcze. Lustro. Rozbite na kilka części. Co dziwne w tym lustrze, jednak na pewno wytłumaczalne: każdy z odłamków, choć nadal przylegających do siebie, wskazywał inną z przeciwległych ścian i co ważniejsze w innym natężeniu światła słonecznego. Usiadł na materacu. Pół metra od niego, nie więcej, leżał dalej największy z wszystkich śmieci. Wstał i kopnął go by sprawdzić jego właściwości. Poznał ten odgłos. To specyficzny dźwięk łamanego żebra. Przewrócił czyjeś ciało na drugą stronę. Ten drugi musiał nie żyć od kilku dni. Na szczęście zimno hamowało ostateczny rozkład. To dobrze. Mógł zdjąć z tego tam ubranie i przywłaszczyć je sobie. W takich momentach nie myśli się o godności. Myśli się o zimnie. Zdobyl za duże o dwa numery dzinsy, gumowe kalosze w rozmiarze uniwersalnym i flanelową koszulę w kratkę. Teraz wyglądał porządnie. Jak człowiek. Sprawdził kieszenie. Stał się posiadaczem monety, okularów oraz mapy. Przymierzył okulary. Przybliżyły obraz lepiej niż zoom czy mikroskop. Teraz mógł przeczytać napisy na ścianach. Był przekonany, że jest to zapis niepowiązanych ze sobą logicznie wyrazów, myśli jakiegoś chorego człowieka, jakiś słowotok. Tymczasem wszędzie widział tylko jedno słowo: KOP. Skrót? Nie. Raczej polecenie. Zdjął okulary. Nie nadawały się do noszenia. Rozłożył mapę. Nie opisywa-

ła okolicy w której podejrzewał, że mógł się właśnie znajdować. Bez szans. Moneta również nie przedstawiała realnej wartości. Złotówka sprzed denominacji. Włożył wszystko powrotem do kieszeni. Teraz był ubranym człowiekiem, który posiada przedmioty. Wyszedł z ego przeklętego pomieszczenia. Na zewnątrz świat składał się tylko z ostrego światła. Przecinało mu oczy jak ostrze skalpela chirurgicznego. Odruchowo przymknął powieki. Znowu był w pomieszczeniu. Przez okno wpadało czerwone światło. Promienie rozchodziły się pod dziwnym kontem - od dołu. Wrzuciło go do budynku. Jakaś siła kazała mu ryc w ścianach napisy. Cokolwiek by jednak nie pisał zawsze pojawiał się napis KOP. Trwało to dniami czy też może tygodniami. Zimny dreszcz przeszedł mu wzdłuż kręgosłupa - a jak się z tego nigdy nie uwolni? Zdał sobie jednak sprawę, że to nie jest naprawdę. Przełamał się i otworzył oczy. Wyjście trzeba podzielić na etapy. Nie biec. Iść powoli. Nie patrzeć od razu na wszystko. Przymknąć oczy. Trzeba mieć jakiś system. Teraz ostatecznie wyszedł. Rozejrzał się. Jasność została zastąpiona mgłą. To nie była mgła. To tylko brak ostrości. Nie było, rzecz jasna widać wszystkiego, ale widać było znacznie więcej. Zbadał teren. Stał na boczniczy kolejowej, dwieście metrów od budynku dworca kolejowego. Betonowy bunkier z czarnymi oknami na tle topniejącego śniegu. Wygląda jak odcięty łeb wielkiego zwierza wyrzucony z dala od jeszcze żyjących stworzeń, by nie powodować u nich lęku. Nic więcej. Żadnych dróg dojazdowych. Żadnych podróży z walizkami. Nikt nie postawił kolorowych kiosków z gazetami. Nic z tych rzeczy. O tej porze nie kursowały jeszcze pociągi. Nic poza dworcem kolejowym, peronem i szynami po środku oceanu z błotnistej zmarzliny. Wyzначzył kierunek. Jeśli nie pomogą mu na dworcu, nie pomogą mu już nikt. Jest skazany na pracowników kolei. Jeżeli tacy w ogóle tu pozostali. Możliwe, że nikogo tu już nie ma. Szczególnie martwo budynek wyglądał od środka. Wnętrznosci niezjącego dworca składały się z do nikąd nie prowadzących korytarzy, z podartych rozkładów jazdy, zdezelowanego kasownika i czterech kas biletowych. Czynna była tylko jedna (co i tak jest zadziwiające). Elektroniczny zegar nad nią wskazywał 77:77. Za szybą częściowo zakrytą popielatą firanką siedziała kobieta w mundurze kolei. Mógł więc dowiedzieć się o drogę ucieczki.

- Czy ta stacja jest czynna?

- Nie jestem tego pewna do końca. W każdym razie podejrzewam, że tak jest. Przywieźli mnie tutaj pod koniec lat siedemdziesiątych, albo na początku osiemdziesiątych. Tego już nie pamiętam. Było wielkie otwarcie. Płyty chodnikowe i mydło w toalecie. Wszyscy w mundurach. Sam kierownik był obecny. Powiedzieli: „Zobaczysz! Rok, dwa lata - zbudujemy elektrownie. Przyjadą transporty z uranem. Przyjadą transporty z fizykami. Dostaniesz awans. Dostaniesz mieszkanie w mieście. Tylko przychodź tu punktualnie o piątej.” To przychodziłam. Ciężko było. Ale myślę: dla synka przychodzę, nie dla siebie - tutaj kobieta wskazała na przypięte do rozkładu jazdy czarno-białe zdjęcie małego chłopca. Potem kiedy płyty chodnikowe zapadły się. Nie miałam co wracać do miasta. Szło się tak długo, że jak

wróciłam do domu to zaraz musiałam już wychodzić. To pomyślałam: zostanę te kilka nocy na dworcu.

- Co mi tam. O! Telefon był to można było dzwonić do domu - tutaj wskazała na pożółkły aparat telefoniczny. My z mężem nie mieliśmy wtedy własnego telefonu w domu, ale sąsiedzi mieli. Zresztą na nowym mieszkaniu miała być już linia. Potem, to już musiało być na początku lat dziewięćdziesiątych bo wtedy zaczęły się cięcia w finansach, było tak że nie mogłam już dzwonić. Ale oni mogli połączyć się ze mną. Dzwonili coraz rzadziej. Raz na tydzień. Raz na miesiąc. Raz na rok. Przeszli wreszcie dzwonić w ogóle. Aleja zostałam. Myśle - tyle lat tu siedzę i jak? Czy to miałoby się wszystko zmarnować? Okazać się niepotrzebne? Może kiedyś wybudują tę elektrownię? Kto to tam wie. Będę czekać. Zobaczysz jeszcze jak mój mąż się ucieszy. Dzieciak będzie ze mnie dumny. Trzeba tylko poczekać.

- Ja nie mogę czekać. Muszę jechać. Jeśli zostanę... stanie się coś złego.

- Na tej stacji nie ma połączeń pasażerskich. Tylko raz w miesiącu odchodzi z peronu towarowego transport drewna.

- Nie zauważyłem żadnych drzew w tej okolicy.

- Wszystkie już wycieli. Dziś odchodzi ostatni transport. Potem już nic stąd nie odjedzie.

- Już nigdy?

- Dopóki nie będzie elektrowni. Trzeba czekać. Jeśli chcesz zabrać się z drwalami musisz się pospieszyć. Peron towarowy jest ukryty za dworcem. Znajdziesz ich. Idź. Zegar wskazywał 21:21.

Okrażył budynek i trafił na drewnianą rampę. Na torach stała podstawiona krótka platforma załadowana drewnem. Podłączono ją do elektrycznej lokomotywy. Z rampy na platformę przesiadało się czterech mężczyzn. Byli ubrani tak samo jak zwłoki z bocznic: koszula w kratę i gumowe buty ochronne. Gdy zauważyli go, najstarszy z nich zapytał:

- Masz mapę? Mówili nam, że przyjdzie dzisiaj do nas piąty z mapą i wskaże nam drogę.

- Mam mapę, ale nie wiem czy potrafię jej użyć.

- Ty mówisz, że nie potrafisz. Cóż... Ja mam jednak nadzieję, że potrafisz. Bez twojej wiedzy nie dojedziemy tam gdzie mieliśmy.

- A gdzie mieliśmy dojechać?

- Ty to wiesz najlepiej. Musimy się dostać do tartaku i zostawić tam drzewo by pocięli je na deski. Z żelaznej lokomotywy wynurzył się kolejarz. Mówił, że ma już pozwolenie na odjazd. Jak nie teraz to będą czekać do następnego miesiąca. Wszyscy milcząc, pytająco patrzyli na mapowego.

- Jedziemy - zdecydował ostatecznie. Na ślepo. Co miał do stracenia. Może nie dojedzie do tartaku, ale przynajmniej wyjedzie z tego przekłętą miejsca. Trzeba uciekać. Gdziekolwiek.

Wszedł na platformę. Lokomotywa szarpnęła. Wyjące silniki wprawiły w ruch pojazd. Teraz nie było odwrotu. Nigdy jeszcze nikim nie dowodził i nie

wskazywał nikomu drogi. Przerazała go nowa rola. Jeszcze bardziej przerzął go fakt, że nie ma jakiegokolwiek wiedzy na temat jak dojechać do tartaku. Rozłożył mapę. Udawał fachowca, który rozkłada codziennie wszystkie możliwe plany dróg na wszystkich możliwych środkach transportu. Obraz wydrukowany był na wodoodpornym papierze, przygotowanym na ewentualną podróż na odkrytej platformie przez lepiącą się mgłę. Rozrysowana była na nim sieć linii kolejowych oraz zaznaczone klasy poszczególnych połączeń. Był też czerwony krzyżyk podpisany jako start oraz drugi-na przeciwstawnym końcu mapy z napisem tartak. Więc to takie proste? Wystarczy tylko trzymać się wyznaczonej trasy. Kierować się cały czas na północny zachód.

- Czy znasz drogę Mapowy? Zapytał kolejarz. - Jeśli tak, chodź no tu do lokomotywy. Poprowadzisz nas.

Poproszony przez maszynistę poszedł do lokomotywy. Wewnątrz lokomotyw jest ciepło od pracy maszyn, są też fotele i grzałka do wody. Był teraz uprzywilejowany względem reszty pracowników, chociaż nie ścinał z nimi drzew, nie ładował ich na platformę. Przede wszystkim nie był tym za kogo się podawał. To nie on rozrysował mapę. Nie on ją potem oznaczył. Nie on przemyślał jej laminowanie. A jednak to on był teraz najważniejszym członkiem załogi. Nie miał jednak wyrzutów sumienia. Mimo wszystko zmierzali w dobrym kierunku. Coś go jednak przeszkadzało. Jak żywica przyklejona do palców albo nachalny robak. Oni wiedzą. Oni wiedzą. Oni wiedzą. Ta myśl zaczęła wypełniać go stopniowo, aż do momentu gdy przestała się mieścić w jego organizmie. Musiał powiedzieć ją na głos. Musiał.

- Oni wiedzą!

Teraz zrobiło popadł w panikę. Maszynista go usłyszał. Zacznie drażnić temat. Zacznie się pytać, co kto wie. Wymyślić coś czy się przyznać? Poczul się jak zwierze w żelaznej pułapce. Sytuacja urosła w jego umyśle do niemożliwego do pokonania problemu. Sięgnął dłonią po hamulec bezpieczeństwa.

- Nie będę się tłumaczył, wolę umrzeć. Wolę umrzeć, ale nie chce się tak męczyć. Nie chce się męczyć tutaj, ale tam też będę umierać długo. Będę umierać długo, ale ta podróż przeciąga się w nieskończoność. Zahamuj i uciekaj - analizował według praw swojej własnej logiki.

- Oni nie wiedzą - uspokoił go maszynista - zaufali ci gdy przyszedłeś do nich z mapą z zaznaczonym tartakiem. Tak jak było im obiecane. Ufają tobie bez reszty. Możesz ich teraz wywieść na wschód, możesz ich zostawić tutaj, ale oni i tak będą uważać, że zaprowadziłeś ich w dobre miejsce. Było im obiecane, że mapowy dowiedzie ich w dobre miejsce. Mapowy przybył, więc mapowy ich poprowadzi. A nawet jeśli... Nawet jeśli, rozgryźli cię, co jest całkowicie nieprawdopodobne. Ale wyobraźmy to sobie. Spójrz na nich - ostatni rok wycinali las w najbardziej nieprzyjaznym miejscu na ziemi. Nie obchodzi ich to czy jesteś prawdziwym mapowym, czy nie. Oni chcą wrócić do domu. To ich interesuje. Ale założmy nawet, że ich to nie obchodzi. Założmy, że to mściwi ludzie, którzy pragną jedynie wykryć fałszywych pracowników kolei. Spójrz na nich znowu. Najstarszy uważa, że od takich spraw jest najmłodszy. Niech mło-

dzi chodzą się użerać, on już się w życiu nawalczył. Najmłodszy uważa, że nie ma wystarczająco silnej pozycji w grupie i uważa, żeby trudne sprawy załatwiał najsilniejszy. Najsilniejszy siedzi daleko od naszej kabiny i pilnuje drewna, on ma ważniejsze zajęcia i uważa, żeby problemem zajął się sierotowaty chłopak, który siedzi przy mechanizmie, bo obijał się cały rok i wreszcie by się na coś przydał. Sierotowaty uważa, że sprawą powinien pokierować najstarszy, bo właśnie do niego czuje respekt. Koło się zamyka. Nikt ci nie grozi.

- Skąd wiesz...

- Wiem kim jesteś. Wiem o tobie wszystko. Wiem, że masz pytania. Prawda?

- Jestem tak bardzo przerażony, że chciałbym umrzeć. Teraz... Doprawdy, nie wiem co zrobić. Zastanawiałem się... Z trudem próbuję przypomnieć sobie kim jestem. Czasami... Wydawało mi się, że jestem kimś lepszym. Nie wiem. Może mógłbym gdzieś zadzwonić. Ktoś... Po winny być jakieś możliwości... Czasami nie wiem co jest prawdą... Potrzebuję pomocy. Naprawdę.

- Mam dla ciebie zadanie. Jesteś gotowy na zmiany? Widzę, że jesteś w sytuacji bez wyjścia. Najwidoczniej musisz się zgodzić na moje warunki.

- Co w takim razie będzie moim zadaniem?

- Dowiesz jeśli doprowadzisz nas bezpiecznie na miejsce.

Lokomotywa z czarnego żelaza ciągnęła platformę z drewnem tak jak na początku drogi. Tylko, że droga była już inna. Drzewa, z początku widziane jedynie na horyzoncie, przybliżyły się. A co ważniejsze - było ich coraz więcej. Las stał się tak ciemny, że tylko kolosalne reflektory oświetlające tor, pozwalały Mapowemu rozpoznawać wzrokiem właściwą drogę. Zdarzało się, że jakieś młode drzewko - dąb lub klon zdążyło nieroztropnie urosnąć między szynami, Drwal Bez Palców lub też Silny Drwal, schodził z platformy i ścinał je siekierą z taką łatwością jakby łamał zapałkę. A gdy transport wjechał na inną klasę dróg-starszych, krętych bez zasilania elektrycznego, kolejarz rozpoczął podgrzewanie pary wodnej w kotle. W tego rodzaju lokomotywie pali się węglem i mazutem. Tym razem do ognia trafiały, równo z klasycznym paliwem - młode drzewa ścięte po drodze potężnej lokomotywy E3/3, która jako jedyna ze wszystkich lokomotyw na świecie mogła przebyć całą trasę zaznaczoną na planie Mapowego.

Przebyli noc. Przebyli listowie. Przebyli w końcu wszystkie te rzeczy, które trzeba przebyć by dotrzeć do tego miejsca, którego się szuka. Do miasta prowadził górski tunel. Wraz z nadejściem tunelu kończyła się puszcza. Wraz z końcem tunelu rozpoczęło się Miasto. Górski tunel, który zaczynał się na wschodzie miasta, wypływał tory, które to przez kolejne kilkadziesiąt metrów prowadziły do stacji kolejowej. Umieszczenie dworca niżej - na jednej ze ścian osady byłoby szaleństwem, nawet najlepsze lokomotywy nie pokonują tak bardzo pochyłych tras. Miasto zbudowane zostało na czymś co można by nazwać odwrotnością góry. Domy, lampy uliczne, drzewa oraz drogi osadzone na stromym zboczu, zbiegały się ku okrągłemu placu, który był najwidoczniej dnem

całego miasta i jednocześnie jego centrum. Z miejsca w którym zatrzymała się lokomotywa - poza widokiem na śpiące miasto i zatopione w mroku krąg góry patrzeć można na widok, którego nie znasz: bo oto zachodnia krawędź miasta otwarta jest na przestrzeń morza. Najbardziej zburzonego i skalistego morza jakie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Trudno określić to uczucie kiedy widzi się całość: i góry, i miasto, i morze. Wszystko to wlewa się do człowieka. Popłoch nagle ustępuje miejsca respektowi wobec Miasta. I wtedy zaczyna rozumieć, że żył tylko po to żeby trafić właśnie tutaj. Że wreszcie jest na właściwym dla siebie miejscu. Co jeszcze wtedy czuje człowiek? Smutek. Uświadamia sobie ile czasu nie patrzył na Miasto, nie odczuwał Miasta, nie był Miastem. Potem przychodzi wdzięczność - nie każdemu było dane dojść do miasta, a jemu się udało. Człowiek schodząc po wzgórzu zanurza się w miasto: w jego fabryki, jego sady, jego powietrze. Gdy zejdziesz już całkowicie na dno stajesz się nierozłącznie zespolony z Miastem.

- Teraz opowiem ci o zadaniu które masz do wykonania - ciszę zburzyły słowa kolejarza - zostawisz teraz platformę, drwale dadzą sobie radę. Tartak jak widzisz graniczy z bocznica. To konieczność, gdyż gospodarka miasta opiera się na obróbce drzewa w tartaku. Większość obywateli wstaje rano, idzie do tartaku i zmienia drzewa w belki, deski i płyty. Sprawny przeładunek to podstawa. Teraz, gdy platforma będzie pusta załaduję na nią gotowe materiały by przewieźć je ludziom w innych miastach, gdzie akurat brakuje i drzew i desek i tartaków. A w drodze powrotnej zgłoszę się do kolejnego punktu wycinki po kolejne drzewa. Stąd potrzebni są mapowi, prowadzą mnie po kolejnych punktach. To proste - nawet ty rozumiesz zasady mojej pracy, nieprawda? Widzę, że przytakujesz. W porządku więc. Wytłumaczę ci zasady twojej pracy. W tym mieście wszystko dzieje się zgodnie z planem. Każdy obywatel ma swoje miejsce w społeczeństwie, własny status i własne zadanie do wykonania. Bez przestrzegania planu-zawaliłby się automatycznie wraz z całym miastem. Mam nadzieję, że pojmujesz już delikatność tego środowiska, w którym jest dane ci się znaleźć. Na ścianie południowej jest dom. Będziesz zobowiązany do sprawowania opieki nad nim. Oczywiście zawsze możesz zrezygnować i wyjechać z miasta. Wybór należy do ciebie. Pamiętaj o tym, że to twoja szansa. Teraz możesz być za coś odpowiedzialny. Możesz stać się lepszym człowiekiem. Wewnątrz znajdziesz dalsze instrukcje.

- Jak tam trafię?

- Przecież znasz drogę...

- Skąd miałbym znać drogę proszę pana?

- Przecież już tam byłeś. To jest miejsce w którym umarłeś. Był wypadek. Nie pamiętasz?

- Z pewnością pamiętałbym...

- Hyhm. Ty rzeczywiście nie pamiętasz. Moja córka może ciebie zaprowadzić jeśli chcesz. Właśnie jedzie w naszym kierunku...

Na widok czerwonego Hummera. I chciał się zapaść pod ziemię. Naprawdę

jeszcze przed chwilą, był pewny siebie. Oto miał ubranie, miał też pracę. Był jakiś określony. Ale kiedy zobaczył czerwonego Hummera zrobiło mu się wstyd, że nie jest jednym z posiadaczy czerwonych Hummerów.

Dziewczyna hamuje. Otwiera okno. Ignoruje go. Rozmawia z ojcem. Mówi o ekspresie do kawy. Najlepszym. Mówi o drogich perfumach. Najlepszych. Mówi o nowej muzyce. Najlepszej. Ignoruje go bez przerwy. Ojciec każe jej zabrać chłopaka ze sobą. Mówi „no dobra”, ale słyhać „jak znajdziemy się na osobności to ci powiem, że wcale nie chce go zabierać bo mam ważniejsze rzeczy do zrobienia”. Teraz wsiada do jej auta. O czym jej opowie? Pamięta jakieś trzy historie. No może jeszcze jedną jak ściągał ubranie z trupa. Pozwoli mówić jej.

- Mieszkasz tutaj? - zapytał

- Oczywiście, że mieszkam tutaj. Moja rodzina mieszka tu od pokoleń. Jesteśmy związani z tym miejscem. Tutaj przynależymy. Skąd pochodzi twoja rodzina?

- Z żadnego miejsca... tak naprawdę... nie mam rodziny... ostatnio nie mam...

- Oczywiście. Osoby, które z nikąd nie pochodzą nie mogą się uznawać za rodzinę.

- To twój samochód?

- Oczywiście, że to mój samochód. Jedyny samochód w Mieście. Nikogo innego nie stać na tak dobry samochód. Czy ty masz coś wyjątkowego?

- Mam monetę sprzed dewaluacji.

- To się nie liczy. Byłych miliard. Na dodatek to tylko jedna moneta. Nieaktualna. Nie liczy się.

- Co to za miejsce? To dolina?

- To nie jest dolina. To krater. Nie widzisz tego?

- Krater?

- Tak krater po meteorycie.

- Wstał już nowy dzień i nie zauważyłem, żeby góry stały się jaśniejsze. Dlaczego? Dlaczego tam nadal jest ciemno?

- A po co miało być tam jasno?

- Żeby można było tamtędy chodzić i wyjść stąd.

- Dlaczego miałbyś stąd wychodzić. To nie ma sensu.

- Nie chce stąd odchodzić. Chce mieć tylko taką możliwość.

- Jesteś dziwny wiesz. No dobrze. Miasto otoczone jest górami. Nie możesz przez nie przejść są tak ciemne, że nie odróżnisz drogi od ściany. Na zachodzie masz wyjście na morze. Wieją tam zachodnie wiatry i daleko nie da się odpłynąć łódką. Stoczni oczywiście nie mamy. Pozostaje jedyne wyjście przez tunel. Nie radzę ci samodzielnie przechodzić przez tunel. Bez lokomotywy zginiesz tam. Rozumiesz?

- Rozumiem. Gdzie jesteśmy teraz?

- Jesteśmy w centrum. Tutaj zbiegają się drogi: na plażę, na transformatory,

na dom Potężnego Człowieka, na osiedle, na dworzec i tartak, na szpital Czerwonego Krzyża a ta droga prowadzi do twojego domu. Idź już mam ciebie dosyć. Nie chodź po Mieście bez zezwolenia i bierz się do roboty. Jeśli opuścisz miejsce pracy, Potężny Człowiek zobaczy to i potnie ciebie na kawałki. Pamiętaj on widzi wszystkich.

Czerwony Hummer odjechał, gdy tylko zdążył zatrzaskać drzwi. A więc tak czują się brzydkie psy wyrzucane przez swoich właścicieli na odludnej drodze. Nie lubił dziewczyny. Czuł się przy niej najgorszym człowiekiem na świecie. Ale nie znał tutaj nikogo innego.

Rozejrzał się bezradnie po placu. W oczy rzucał się budynek marketu SPAR. Czerwony pawilon z przymocowaną blaszką w zieloną choinkę. Ostatni raz widział sklep tej sieci kilkanaście lat temu. Wydał mu się wtedy enklawą lepszego świata. Nie miał pieniędzy, ale nie mógł przewyciężyć w sobie tego by nie wejść i nie sprawdzić czy nadal tak jest. Półki pełne były przedmiotów: puszek z napisem Kaffee, kartonów Orangen Saft, pudełek Schokolade, słoików z Marmoladę, butelek Bananen Milch. Osobne działki dla: Kase, Süssigkeiten, Gemüse und Obst, Fleisch, Gewürze czy nawet Chemie. Wszystko w intensywnych kolorach poukładane równo na białych półkach z napisem SPAR. Brał niektóre opakowania do ręki, potrząsał, oglądał je. Zauważył, że część z nich jest przeterminowana, a część wręcz pusta. Podejrzana sprawa.

- Czego tu szuka!?! - wielka baba ukryta dotychczas za półką zdenerwowała się obecnością intruza. Miała na sobie zielony fartuch z czerwonym napisem SPAR i białą koszulę. Miała też dosyć bezczelnego zachowania obcego. Tapirowane blond włosy powiększyły się jeszcze bardziej a oczy pomalowane na granat wytrzeszczyły się do rozmiarów żarówki.

- Nie wiedziałem, że u nas są jeszcze markety SPAR-u. Wydawało mi się, że wszystkie zbankrutowały.

- Nie jesteś u siebie. U nas nic nie bankrutuje. My potrafimy dbać o swoje interesy. I przedstawiamy porządnym ludziom towaru na półkach.

- Nie strasz, nie strasz. Herbatę i croissanty - przerwał jej starszy człowiek w granatowym kombinezonie. Wszedł do sklepu i najwidoczniej irytowały go pokrzykiwania baby.

- Chodź. Idziesz ze mną.

- Ja? - chłopak przestawał wierzyć w to co słyszy.

- Tak, ty. Zapomniałem zabrać ze sobą listu. Jestem za stary żeby biegać w górę i w dół po tym cholernym kraterze. Pójdiesz ze mną i zanieziesz list na pocztę. No idziesz?

- Idę, idę.

- Więc nie potrafisz odpowiedzieć nic krzykliwemu babsku ze SPAR-u i nie sprzeciwiasz się jeśli ktoś każe ci nosić za siebie pocztę? Yhym. No to idziemy. Mój dom znajduje się na końcu tej drogi.

- Myślałem, że tam jest transformator.

- Transformator, kondensator i masa kabli. Nawet ja do końca nie wiem do czego większość z nich służy a jestem tu elektrykiem od kilkudziesięciu lat.

- Jest pan elektrykiem?

- Elektrykiem, elektronikiem i cybernetykiem. Ale na co mi to? Wiatraki z których czerpiemy prąd same sobą sterują i nie potrzebują pomocy takiego podrzędnego elektryka jak ja. A najbardziej skomplikowany mechanizm w mieście to telewizor. O popatrz na północny-zachód tam gdzie jest osiedle dziś wieczorem. Wszyscy siedzą przed ekranami i oglądają Fort Boyard. Pół krateru pulsuje równo niebieskimi światełkami. Piękny widok. Hehe.

Szli przez sady. Daleko widać było ludzi zbierających owoce. Zmęczone dłonie zrywały jabłka jak kwity. Mieli żółte kombinezony. Zlewali się z pomarańczowymi liśćmi, które były wszędzie. Świat składał się z spadających liści. Wyglądał jak snowshaker. Gdyby jakiś olbrzym potrząsnął kraterem, tony liści uniosłyby się w górę i przysłoniły słońce na wiele dni.

- Tutaj mieszkam.

Elektronik wskazał ręką na błękitny budynek pokryty szarą dachówką. Dom przylegał do kilku baraków z blachy. Gdy stanąć kilka metrów od nich słychać szum prądu elektrycznego. Zamknięte dzikie zwierze w klatce, które pomrukuje na swojego opiekuna.

- Napijesz się herbaty? Pewno, że tak. Nawet nie pytam.

Dom również wewnątrz był szaro-błękitny. Elektryk nie posiadał chyba ani jednej rzeczy, która miała inny kolor. Sam zresztą przybrał takie barwy. Ani on, ani jego dom nie wyróżniali się niczym.

- To prawdziwa arbuzowi herbata?

- Sprawdźmy. Patrz no ich... tylko pudełko się zgadza. W środku jest zwykła miętówka. Co za oszukaństwo. Croissanty się zgadzają. Są tylko lekko przeterminowane.

- Więc dostarcza pan prąd do miasta?

- Ja go nie dostarczam. Robią to wiatraki na plaży, przewody i inne urządzenia. Ja tylko nadzoruję. Jedyne co muszę pamiętać, to żeby nie chodzić wokół przewodów gdy pada deszcz. Tyle.

- Gdzie jest list, który miałem zabrać?

- Nie piszę już listów. Nie mam do kogo. Ukrywam się tutaj przed wymiarem sprawiedliwości.

- Więc na co panu jestem potrzebny?

- Nikt nie chce ze mną rozmawiać. Jestem stary i noszę okropny kombinezon. Poza tym nie jestem jednym z nich. Nie lubią mnie. Ty też nie jesteś jednym z nich. Nigdy nie zauważyłem, żeby którykolwiek zwrócił uwagę na te przekreśły w markecie. Oni wolą nie widzieć takich rzeczy.

- Nie rozumiem... Muszę iść.

- Idź, idź. Zrozumiesz szybciej niż ci się wydaje. Wrócisz też już niedługo. Nigdzie nie uciekniesz. Pewno już wiesz. Zresztą. Rób jak uważasz. Mnie i tak nikt nie słucha.

Zbiegł z wzgórza na dno krateru. Z wszystkich dróg wybrał tą, która prowadzi do budynku w którym miał pracować. Była to najbardziej zarośnięta i mroczna ze wszystkich ścieżek. Prowadzi przez monotony ciemny las. U szczytu ściany ktoś zbudował pokraczny budynek. Może gdy był nowy nie wyglądał tak potwornie? Ściany są pochyle, zaokrąglone, nierówne. A co najbardziej rzuca się w oczy to komin, który jest większy od części mieszkalnej. Drzewa rosnące na wschód od komina były całkowicie martwe. Sadza, która wydobywała się przez lata z komina osiadła na ścianach domu tak, że był on czarny u góry, rozjaśniał się by być jasnoszary u stóp. Otworzył drzwi. Wnętrze zarzucone było starymi sprzętami. Od mikserów, przez radia tranzystorowe, na komputerach IBM kończąc. Wszystko poukładane równo na blatach stołów poustawianych wokół pomieszczenia. Nic nie działa. Na jedynej wolnej powierzchni znalazł kartkę z instrukcjami. Rozkaz był prosty. Miał nie wychodzić i utrzymywać ogień w palenisku. To nic nie wyjaśnia. Faktycznie w izbie był ogromny piec. Było też sporo drewna. Ale czemu to wszystko służy? Dorzucił drewna do ognia i zasnął na łóżku polowym. Takiego zmęczenia nikt nie jest stanie wytrzymać.

Śnił mu się człowiek bez kolorów i dźwięków. Potem było ich więcej i więcej. W końcu nie wiedział - czy to widma go otaczają, czy to już zaczęły się góry. Wiedział, że ktoś od niego wymaga jakiegoś zachowania. Ale kto? Istoty? Góry? Rano obudził go warkot silnika. Warkot... Potworne wycie. Nie ma okien. Chciał wybiec z domu. Coś tarasowało mu drogę. Pchnął drzwi mocniej. Wybiegł z domu. Zobaczył pojazd, który przebijała się głębiej w las, w kierunku zachodnim, akurat za jego domem. Pobiegnął za nim. Po kilkuset metrach zatrzymali się obaj - on i kierowca przy czymś co wyglądało jak japońska świątynia. Kierowca wyszedł z pojazdu, który się okazał cysterną, popatrzył na naszego bohatera i uśmiechnął się, że go nie widzi. Pod rozpadającą się pagodą stał betonowy posążek morskiego bóstwa. Zakryte krzywymi daszkami były też dwie sadzawki. Jedna z czystą wodą, druga z bagnem wypełnionym robactwem. Kierowca podłączył pompę do pierwszego źródła i rozpoczął przelewanie wody do cysterny. Po czym zwinął całe oprzyrządowanie i ignorując pytania chłopaka, odjechał zagłuszając je ostatecznie. Tyle go widzieli. Nasz wracając do domu, zauważył co tarasowało mu drzwi.

- Wrócił - powiedział do siebie.

Wydawało mu się to tak nierealne, że musiał upewnić sam siebie. Na głos. W drzwi powbijane były gwoździe, tasak i młotołom. W ziemię wbito żelazną łopatę. Widmo było tutaj naprawdę? Czego do cholery może chcieć? Chce mnie zabić? To czemu nie wbije tej siekiery we mnie, tylko w moje drzwi! Dosyć! Nie chce tu teraz być. Zawieszam umowę. Raz już tutaj zginąłem. Czyli co? Kolejarz wie, że raz mnie tutaj zabili. Skąd on to wie. Muszę się dowiedzieć. Zbiegł na dno krateru. Cysterna, którą widział w lesie stała teraz pod nieczynnym budynkiem YMCA. Do cysterny ustawili się kolejka ludzi z wiadrkami. Najwidoczniej w mieście nie było bieżącej wody. Tłum wbił wzrok w chłopaka. Szemrali między sobą i wytykali go palcami. Ze zgrozą spoglądali to na

dom Potężnego Człowieka a to znowu z pogardą na chłopaka. Nie obchodziło go to. Musiał wyciągnąć z kolejarza więcej informacji. Na dworcu jednak nie było ani Kolejarza, ani lokomotywy. Natknął się na czerwonego Hummera i na dziewczynę.

- Gdzie jest twój ojciec. Muszę z nim porozmawiać.
- Nie ma go. Wyjechał. Przyjdź za miesiąc.
- Nic mi nie powiedział, że wyjeżdża.
- Nie przeszkadzaj mi.

Zatrzasnęła drzwi i zjechała w dół miasta. Pobiegnął w tym samym kierunku. Nie było już nikogo. Nie miał wyboru. Wrócił do domu z wielkim kominem. Tam pozostał przez najbliższy miesiąc. Dni mijały mu na próbie rozwikłania zagadki swojej śmierci. Z dnia na dzień coraz mniej chciał umierać. Wręcz przeciwnie. Trzeciego dnia zaczęli przychodzić do niego ludzie w czarnych uniformach. Przynosili ładunki, które natychmiastowo ginęły w piecu. Nie rozmawiali z naszym bohaterem, on też nie zamienił słowa z mundurowymi. Codziennie rano przejeżdżał koło jego domu cysterna. W drodze powrotnej kierowca zostawiał wiadro wody a co któryś dzień paczkę z SPAR-u. Dostawał najbardziej przeterminowane odpadki, albo produkty, które udawały zupełnie coś innego niż były w rzeczywistości.

W dniu, kiedy miał wrócić Kolejarz wokół słońca pojawiło się halo a z nieba spadł lodowy deszcz. To nie stanowiło problemu dla naszego bohatera. Jeśli od wielu dni, żyje się jedynie wizją swojej śmierci pogorszenie pogody nie jest czymś co robi wrażenie na człowieku. Nawet jeśli będzie musiał biegać po oszklonych ścianach krateru. Dopadł kolejarza na dworcu. Stał z córką za jej samochodem. Nie widzieli go. Zdążył usłyszeć

ona: ...przyjdzie dzisiaj... (zniecierpliwienie)

on: wybrałem... wierzy we wszystko... (śmiech)

- Mów o co chodzi z moją śmiercią. Dlaczego powiedziałeś, że już umarłem? Mów! -on już nie pytał. Od wrzeszczał, darł się, krzyczał. Nawet nie chciał już znać odpowiedzi. Chciał zwrócić uwagę. Żeby ktoś go potraktował poważnie. Dostyc już. Dostyc.

- Co tu robisz? Masz być w pracy. Potężny Człowiek...

- Nie obchodzi mnie ten wasz Potężny Człowiek. Chyba, że to on mnie zabił. O to chodzi?

- Jakim tonem się do nas odnosisz. Powinieneś być nam wdzięczny. Dziewczyna podjęła swoją strategię traktowania naszego bohatera jak śmiecia.

- Milcz szmato. Tatuś nie nauczył ciebie okazywać ludziom szacunku? Walcie się.

Czuł, że ma już w tej chwili dużo więcej puzzli w rękach, ale nadal nie umie ich połączyć. Pobiegnął do domu Elektronika. Powinien dzisiaj nigdzie nie wychodzić. Przypominał sobie wszystko co usłyszał ostatnio od Kolejarza i jego córki. Wrócił do domu po młotolom. Wiedział, że dzisiaj się przyda. Jedyna kwestia to tylko do czego. O co chodzi z tym Potężnym Człowiekiem? Zasta-

nawiał się biegnąc z młotem przez las. Chodzi od rana po mieście i żądane potężny człowiek nie przyszedł by pociąć go na kawałki. Zdekoncentrował się. Zachwiał. Poślizgnął. Łom wbił mu się w ramię. Wykrwawił się i zagadka śmierci sama się rozwiąże. Decyzja była szybka. Idzie do szpitala. Nie dojdzie sam. Gdyby można porzucić tą drogę! Wyszedł na dno Miasta. Stała tam akurat cysterna. Uderzył w zebra zszokowanego kierowcę i zabrał mu pojazd. Nie miał wyjścia. Transporter miał całkowicie rozregulowaną skrzynię biegów, żadne wskaźniki nie pracowały prawidłowo. Prowadził się fatalnie. Szczególnie z przeciętym ramieniem. Na szczęście lewym. Na dojazd do szpitala starczyło. Teren stacji Czerwonego Krzyża zasnuty był kompletnie dymem. Wsiadł z pojazdu i dopiero z odległości kilku metrów dostrzegł, że szary gmach w większości jest wypalony. Dużą część budynku stanowił stopiony szkielec. Jakim cudem to wszystko się nie zawaliło? Ale dym nie wydostawał się z budynku. Przychodził z okolicznych zarośli. Co więcej - spod ziemi. Wszedł do szpitala. Dyżur sprawował jedyny pracownik placówki - Hindus, ubrany w biały kitel, czarne gumowe kalosze i czarne gumowe rękawiczki. Zszokowany lekarz poprosił go do ciemnego pokoju wyłożonego zielonymi kafelkami.

- Co się stało panu? Straszny wypadek widzę. Zły dzień. Bardzo zły dzień. Widać od rana, że będzie zły.

- Wiem, że zły. Wykrwawiam się na litość boską. Zszyj mnie człowieku.

- Został tylko wydział okulistyki i wydział epidemiologii. Ale zszyje, zszyje. Lekarze z Czerwonego Krzyża wszystko potrafią. Jak koledzy zginęli to potrafię też za nich wszystko. Zszyte, zszyte. Antybiotyki i środki przeciwbólowe, nie ruszać się tydzień.

- Nie mam tyle czasu. Teraz muszę iść. Wiem nawet gdzie.

Pobiegł do cysterny. Silnik zawył, transporter ruszył. Zostawił szpital za sobą. Zobaczył, że przybliżył się do niego czerwony Hummer. Siedzi mnie? To już za dużo. Za dużo. Hummer jest lepiej opancerzony od cysterny. Tylko, że to ja jadę w dół, po zlodowaciałej ścianie. Dodał gazu. Zderzył się czołowo z terenówką masakrując całkowicie czerwoną zabawkę. Wyszedł ze zmiażdżonej kabiny. Wyjął dziewczynę z powyginanych blach. Począł, aż odzyskała trochę świadomości.

- Chciałem ci tylko pokazać...

cios w kolana

- ...mój nowy i jedyny w swoim rodzaju...

cios w mostek

- ...młotem...

cios w kark

- ...ale ty jak zwykle nie miałas czasu ze mną porozmawiać.

Zaciągnął ciało dziewczyny do swojego domu. Nie było to proste, zważając na fakt, że miał do dyspozycji tylko jedną rękę. Na szczęście nie ważyła dużo. Większy problem stanowiło wyrzucenie całego złomu. Po co opróżnił cały budynek nim zamknął w nim zwłoki dziewczyny? Bóg raczy wiedzieć.

Teraz miał czas by dokończyć swój plan. Po raz kolejny zbiegł do centrum. Tym razem wybrał drogę do domu Potężnego Człowieka. Biegł przez sady. Pozostały w nich tylko nagie konary i brudne liście. Z daleka widział ogromny, biały budynek. Minął tabliczkę z napisem „Halt! Villa Meeresblick-Privatseigentum”, ale w rzeczywistości nie było żadne własności. Pilśniowa płyta, wycięta na kształt nadmorskiej willi, pomalowana białym wapnem. Oszustwo. Nikt go nie zauważy. Nikt go nie potnie na kawałki. Ani nic. Ktoś mu to wytłumaczy. Ktoś dopowie do końca. Elektronik? Elektronik może coś wiedzieć? Wiedział, że nie jestem jednym z nich. Przejrzał ich? Wie o nich więcej niż oni sami o sobie? Trzeba biec a rana boli nadal.

- Elektryku! Potrzebuję pomocy.

Stał już pod jego drzwiami. Nie mógł złapać powietrza. Nie mógł już wytrzymać. Miał się udusić. Złapał jednak oddech. Elektryk czekał na to. Wiedział, że pewnego dnia to się stanie. Ze morderca przyjdzie prosić o pomoc złodzieja. Skąd wiedział?

- Dlaczego kolejarz opowiedział mi te bezczelne kłamstwa o potężnym człowieku i o mojej śmierci.

- Nie tylko tobie. Wmówił je też wszystkim mieszkańcom tego Miasta. Obywatele żyją kłamstwem i oszustwem. Zastraszeni. Zdezorientowani. Łatwo nimi kierować. A powiem ci szczerze. Nikt tak nie kocha sprawować władzy nad innymi - czy to ludźmi, czy maszynami jak Kolejarz. Drań zasługuje na śmierć.

- Jak mogłem dać się oszukać?

- A jak to jest, że zagubiony chłopak przekona wszystkich, że jest mapowym, tylko dlatego, że trzyma mapę w ręku? Ludzie są prostymi mechanizmami. Prostszy niż myślisz. Kolejarz dobrze to wie. Nie jest po jego myśli, by ktokolwiek zajmował się czymś innym lub myślał o czymś innym niż Kolejarz dla niego przewidział. Zbudował sobie cały kombinat tylko dzięki manipulowaniu ludźmi.

- Robi to wszystko dla władzy?

- Rób to wszystko dla pieniędzy. Pieniądze z nielegalnej wycinki drzewa są ogromne. Większe niż mógłbyś sobie wyobrazić. Kolejarz nie cofnie się przed niczym by nic nie zaburzyło jego porządku.

- Czemu miała służyć chora historyjka o mojej śmierci. Powiedział mi, że umarłem. Umarłem w miejscu w którym pracuję. To zupełnie nie ma sensu.

- I oto chodzi. Zmącił twój umysł problemem, który jest zupełnie nielogiczny, nie ma rozwiązania, a jednocześnie zajmuje bez reszty. Tym sposobem odwrócił twoją uwagę od istotnego problemu na który dotychczas ciebie nie zastanowił. Czemu miała służyć twoja praca? Gdy twój poprzednik zaczął zadawać trudne pytania, szybko poszedł z dymem. Dosłownie.

- Co może być tak ważnego w mojej pracy?

- Dom z kominem służy szybkiej utylizacji niewygodnych świadków - to swoją drogą i niepotrzebnych dokumentów - co ważniejsze.

- Jakiego rodzajów dokumentów?

- Przed nami mieszkali tutaj ludzie o wiele mądrzejsi od nas. Przybyli z zachodu. Gdy meteor uderzył w góry, na morzu powstała fala, która zabrał ze sobą mieszkańców innego miasta i przyniosła ich tutaj. Powrót na własną rękę przez skały i zmienne prądy morskie był zbyt niebezpieczny. Postanowili zbudować maszynę, która dałaby znać obywatelom z ich ojczyzny, że żyją i potrzebują pomocy. By tego dokonać wzniesli Miasto od podstaw: domy, hutę, tartak, studnię... Dosłownie wszystko. Całą swoją wiedzę i swoje wierzenia omawiali na lagsagach. Potem spisali swoją wiedzę o socjologii, o cybernetyce, teorii państwa, także wizje swoich proroków. Potrafili wytwarzać mocny papier, który spalić się może jedynie w piecu hutniczym. Właśnie taki piec znajduje się w twoim domu. Wybuch meteorytu widać było z wielu kilometrów. Zobaczyli go również ludzie zza gór. Kierowani próżnością, postanowili zabrać meteor dla siebie. Spośród swoich wybrali więźniów i kazali im kopać tunel prowadzący przez góry. Jak wiesz nie są to zwykłe skały. Nie tylko nie odbijają światła, są również silne jak żaden inny minerał a ich ułamki wbijają się głęboko pod skórę nie dając już się usunąć. Więźniowie ludzi zza gór kopali tunel. Wielu umarło - jedni z wycieńczenia, innych przygniotły skały, ale większość z nich udusiła się skalnym pyłem. Wszyscy bez wyjątku byli pokryci czarnym minerałem - i tak jak on, przestali odbijać światło. Może i działa się z nimi inne rzeczy. Tego nie wiem do końca. Zginęły ich tutaj tysiące - lecz tunel zbudowano. Ludzie zza gór dotarli do Miasta, gdy tworzenie machin, które miały wezwać pomoc zmierzało do końca. Ludzie Miasta, gdy ujrzeli rozmiary bratobójstwa ludzi zza gór, zapłakali i wzniesli ręce ku niebu. Intruzi widząc słabość tubylców a także cud cywilizacji, którą stworzyli własnymi rękoma - unicestwili miasto co do ostatniego obywatela. Może i nie? Może i ktoś zdołał uciec? Zamieszkali w ich domach, i zabrali ich fabryki Jednak nigdy nie zrozumieli ich filozofii, naukowców, artystów Religii. Wartości którymi żyli ludzie zza morza zostały zastąpione ich parodiami stworzonymi przez ludzi zza gór. Prostotę zastąpiło ubóstwo, oszczędność-skąpstwo, spokój-izolacjonizm, szczerłość-złośliwość, porządek-dyktatura. Pojawił się wśród ludzi ze wschodu człowiek rządny władzy bardziej niż ktokolwiek przed nim. Poznał wiedzę ludzi z zachodu. Jest to jednak podła istota. Nie ważne jak dużo ludzi udało mu się oszukać. Bał się, że przyjdzie kiedyś człowiek silniejszy, bardziej rządny władzy od niego. Powziął więc postanowienie bo z nikim nie dzielić się wiedza ludzi zza morza. Przez lata zbierał pisma pozostawione w mieście przez jego prawowitych właścicieli. Im większą wiedzę posiadał tym bardziej był przerażony i tym więcej ludzi krzywdził. Gdy odczytał legendę o potomku pierwszych obywateli, uciekinierów, który wróci by połączyć oba bliźniacze miasta - popadł w szal. Legenda głosiła, że potomek ludzi Zachodu przyjdzie ze Wschodu z czerwonym symbolem w dłoni. Choroba podejrzliwości zniszczyła w nim ostatnie bariery. Mordował każdego, kto mógł odzwierciedlać postać z legendy. Pograżony w szaleństwie zabił pracowników marketu - dlatego pozostał tu jego ostatni oddział, co zresztą widziałeś. Zlikwidował wolontariuszy

z YMCA, budynek zastąpił punktem poboru wody. Zabił też wysłanników z Czerwonego Krzyża, widziałeś co zrobił ze szpitalem? Podłożył ładunki wybuchowe... eksplozja była tak duża, że złoża węgla wokół szpitala płoną do dziś. Przy życiu zostawił tylko Hindusa, który oczywiście nie mógł być potomkiem ludzi zza morza. Zabił też mapowego, gdy zobaczył na jego mapie mały czerwony krzyżyk. Zastąpił go zagubionym chłopcem, którego zabrał z uzdrowiska dla nerwowo chorych, porzucił go na samotnym torowisku i kazał mu wierzyć że znalazł się tam przypadkiem. Myślał, że znalazł posłusznego i wdzięcznego niewolnika. Mylił się.

- Skąd to wiesz?

- Tacy ludzie jak kolejarz potrzebują widowni. To silniejsze do nich. Czasami przychodzi i opowiada mi o swoich morderstwach. Ufa mi. Jestem jego współnikiem.

- Nie rozumiem... Chcesz powiedzieć, że...?

- Nie... Wiele lat temu ukradłem dla niego coś czego potrzebował. Ukradłem mu lokomotywę w zamian za to - rzucił na stół zrolowane plany.

- Projekt?

- To robot. Instrukcja budowy cyborga. Genialna w swojej prostocie. Stworzona jeszcze przez ludzi zza morza. Nie udało mi się nigdy zrealizować tego planu. Po tym jak ukradłem lokomotywę powzięto za mną pościg. Ukryłem się tutaj. Kolejarz bał się mnie, że zbuduje cyborga. Zabrał więc cały sprzęt elektroniczny z miasta i gdzieś go ukrył. Podejrzewam, że po prostu wywiózł je za góry.

- Wiem gdzie są maszyny. Są w hucie. Są w moim domu. Wiem co zrobić by zemścić się na kolejarzu. Możesz zbudować robota- pomoże nam. Musimy się pospieszyć. Niedługo zacznie szukać swojej córki. Zabiłem ją dzisiaj.

- Rozumiem.

Elektryk spojrział na naszego bohatera z uśmiechem i wszystko w nim zatrzymało się na chwile. Oto przez miesiąc zagubiony chłopiec stał się wyrachowanym mordercą. Też w tym miał udział, też była to jego wina. Tak jednak mówiono na lagsadach i to się teraz dokonuje. Nie ma tu żadnej pomyłki.

Nasz bohater nie wiedział, który raz już zbiega ze zboczu krateru i który raz znów pnie się do góry. Przed oczami migają mu czerwone plamy. Elektryk szedł obok, po raz pierwszy od wielu lat wyprostowany. Tym razem kapitulacji nie będzie. Owszem można brzydzić się zbrodnią. Powiem więcej - trzeba. Ale jest też krytyczny moment, gdy bierność staje się hańbą.

Elektryk poddał sekcji odzyskane maszyny. Jakby codziennie demontował setki urządzeń-rozmontowywał każde z kunsztem godnego najlepszego fachowca. Oto inżynier nad inżynierami. Oprawdza po Hadesie martwych wiertarek udarowych, czajników elektrycznych i magnetofonów taśmowych. Zna na pamięć plan budowy cyborga. Wpatrywał się w niego codziennie. Godzinami analizował każdą blaszkę, każdy procesor i każdy kabel. Elektryk wygląda jak chłopczyk, który skleja model czołgu. Bawi się. I oto staje przed nimi robot.

Wielkości człowieka, tylko że każdy element jego ciała powstał z innego stopu metalu, każdy element jego ciała jest sprawniejszy, każdy element jego ciała jest posłuszny stwórcy. I poszli na wojnę.

- Próbowaleś kiedyś wezwać tamtych? Wierzysz w nich? Widziałeś te maszyny? - nasz bohater nadal nie miał wielu istotnych informacji i systemie alarmowych ludzi z za morza.

- Widziałem. Też je widziałeś... Spójrz w stronę morza. Widzisz wiatraki? Ich skrzydła? Do każdego przymocowane są halogeny. Ogromne światła zapłoną i wielkie koło pokaże się nad miastem. Tamci z za morza poznają swoją maszynę.

- Może to bajka? Może już za późno? Może nie zadziałają?

- To perfekcyjne maszyny my nie potrafimy takich budować. Wszystko zadziała. Wiem dobrze której części brakuje. Pozostał tylko jeden przycisk.

- Nie chciałeś nigdy tego uruchomić?

Elektryk zapadł się w siebie, i oto przed państwem skok z trampoliny ze stu metrów do pustego basenu. Ach i oklaski! Elektryk przyznaje się do fiaska.

- Próbowaleś. Utknął w bagnie i zapadł się na dobre. Jestem za słaby, żeby go odkopać.

Tutaj przerwał bo zeszli do centrum. Tłum ludzi, rozgorączkowany, z przekleństwem na ustach. Po środku kolejarz. Nie wie o niczym. Rozkazuje ludziom szukać córki. Rozbitego Hummer nikt nie widzi bo dym od lat zakrywa drogę do szpitala. Znaleźli ciało kierowcy cysterny. Włączyli syreny. Zebrali się. Nic im to nie da. Powinni stanąć w miejscu. Wyciszyć się. Pożegnać się z bliskimi. Oswoić się z zagładą, która ich dzisiaj czeka. Woła jednak tłoczyć się, kłać i polować.

- Pozwól, że będę mówić- powiedział Elektronik.

Tłum wbił wzrok w trzy nowe postacie, które pojawiły się na dnie krateru. Nasz bohater - w tym co zwykle ubraniu odebrany martwemu mapowemu razem jednak całym we krwi: swojej i córki Kolejarza, wpatrywał się zmęczonym wzrokiem w Elektronika. Elektronik - w swoim normalnym kombinie z dumą wymalowaną na twarzy lustrował wzrokiem każdego napotkanego mieszkańca, aż zatrzymał się przy kolejarzu. Tuż za mężczyznami szedł ich cyborg. Elektronik popatrzył z pogardą na Kolejarza, rozpoczął bezczelnym tonem:

- Na samym początku chciałbym wam wszystkim oznajmić, że wydarzenie, które będą tu miały miejsce są naturalną konsekwencją waszego idiotycznego zachowania. Żadna cywilizacja nie ma prawa przetrwać jeśli nie ma jakichkolwiek podstaw moralnych czy intelektualnych. Nie mieliście prawa utrzymać tego ciężaru jakim jest to miasto. Dziś oddacie je prawowitym właścicielom - z wystudiowaną nonszalancją wyjął z kieszeni panel sterowania robota. - W tym właśnie momencie rozpocząłem uzbrajanie mojego cyborga. Jeśli nie podporządkujecie się moim poleceniom, wasz bunt będzie natychmiastowo stłumiony.

- O czym ten szaleniec mówi!?- z tłumy dotarł wyraz niezadowolenia z tyrad elektronika. Motłoch zaczął szemrać między sobą.

- Zapytaj się co zrobili z twoją córką!- odezwał się anonimowy bohater.

- Co to ma znaczyć? Mam donieść na was do Potężnego Człowieka?

- Daruj sobie swoje kłamstwa. Nikt już nie przywiązuje do tego wagi. Nie zastraszysz ludzi którzy mają wiedzę większą od twojej. Nie pokierujesz tymi, których nie zastraszysz. Inaczej nie potrafisz kierować ludźmi, prawda?

- Elektronik popatrzył kpiąco na Kolejarza. Jeśli chcesz wiedzieć co stało się z twoją córką pójdziesz z nami.

- „Pójdziesz z nami” - mechanicznie powtórzył kolejarz, ciągle niedowierzając w jakiej roli teraz występuje.

- Cyborg zanieś ruchomy obiekt do punktu huta. Elektronik oświetlił Kolejarza wiązką laserową. Cyborg niespodziewanie sprawnie uchwycił ofiarę, unieruchamiając mu kończyny poniósł go do huty.

- Reszta za mną - rzucił Elektronik, wyraźnie zadowolony ze swojej nowej pozycji w mieście.

To był wyjątkowo zimny wieczór. Tłum nie interesował się już tak bardzo losami córki Kolejarza. Tak właściwie, kto tam ją znał albo lubił? Właściwie to nikt. Można było siedzieć teraz w domu, pić herbatę z pokrzywy i oglądać telewizję. A tak-nagle ktoś przyszedł i każe im chodźć po zbitym lodem lesie. Co chwila ktoś się wywraca - jest ciemno a teren jest nierówny.

Ale skoro kazali iść i wszyscy poszli - to jak można się wyłamywać?

Cyborg postawił kolejarza pod drzwiami do huty. Elektronik trzymając rękę na jego ramieniu wpełznął mężczyzną do wnętrza domu z kominem. Teraz nadeszła pora na występ naszego bohatera. Zaryglował blaszane drzwi od zewnątrz i przyłożył do nich ucho. Poczekał chwilę, by wyraźnie usłyszeć krzyk dochodzący z wnętrza budynku:

- Mordercy!

- Słyszysz mnie? Bo ja słyszę ciebie wyraźnie - stojąc nadal blisko drzwi krzyczał do Kolejarza - mam dla ciebie bardzo ważne zadanie. Słuchaj uważnie. Właśnie patrzysz na martwe ciało swojej jedynej córki. Zostawiłem tobie również trochę benzyny i zapalki. Chciałbym teraz abyś spalił zwłoki w piecu. Chciałbym zobaczyć dym. Rzecz jasna wyniosłem z budynku wszystkie inne przedmioty- tym samym nie możesz mnie oszukać. Oczywiście zawsze możesz zrezygnować i pozostać w zamknięciu i przez wiele dni obserwować rozkład ciała twojej kochanej córki. Wybór należy do ciebie. Pamiętaj o rym, że to twoja szansa. Teraz możesz być odpowiedzialny za coś ważnego. Możesz stać się lepszym człowiekiem.

Z wnętrza huty przez długi czas dochodziło koszmarnie wycie kolejarza. Po ponad godzinie z komina zaczął wydobywać się dym i mdły zapach płonących zwłok. Tłum zmęczony i zrezygnowany poruszył się, zafalował, zaszeleścił.

- Wychodź! Nasz bohater otworzył drzwi i uwolnił kolejarza. Pozostał z niego jedynie wrak człowieka, postarzał się przez ostatnią godzinę o kil-

kanaście lat, wytoczył się z budynku huty i upadł w rozdeptaną ziemię.

- Czy zauważył już pan, że stał się obiektem mojej gry i moich manipulacji? Czy może pan opowiedzieć jak to jest kiedy traci się wszystko? Myślę, że byłaby to dla nas wspaniała lekcja na dziś. Nie otwierając oczu i nie podnosząc się z ziemi kolejarz spytał co dalej.

- To dla ciebie i twoich ludzi nie jest niczym nowym. Teraz opuście miasto.

Ktoś z tłumu krzyknął, że do niczego ich nie zmusi. Nasz bohater wypatrzył w mroku agresywnego człowieka. Wskazał na niego wiązką laserową i rozkazał cyborgowi nihilizację obiektu. Cyborg bez wahania wykonał polecenie. Porażony elektrycznością buntownik upadł nieżywy na ziemię.

- My w przeciwieństwie do was dotrzymujemy słowa. Nie będzie, żadnych odstępstw od reguły - stał teraz w mroku, jedynym jaśniejszym fragmentem były jego dłonie na konsoli - do tunelu. Teraz. Inaczej czeka was to - podniósł z ziemi kolejarza i popchnął go w stronę drogi.

- Iść - rozkazał, ale sam pozostał w miejscu. Tłum ruszył. Setki ludzi, jak stado bezwładnych owadów ruszyło przez las. Sparaliżowani strachem nie odważyli się mówić. Elektronik zerwał się z miejsca, podszedł do naszego bohatera. Dopiero z bliska zobaczył zmęczenie na jego twarzy, zupełnie go odmieniło. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w motłoch posłuszny jego słowom, idący przecież wprost na zagładę. Teraz we krwi nie było jedynie jego ramię, ale i palce a częściowo również konsola. Zdołał powiedzieć:

- Idą.

- Tak. Słuchają się ciebie. Boją się. Przy samym przejściu do tunelu mogą być problemy. Mogą się ocknąć. Mogą uciec. Ja i cyborg pójdziemy z nimi. To będzie niezbędne dzisiaj- z całej góry złomu wybrał żelazną, ostro zakończoną łopatę. Ruszyli za tłumem obserwując czy nikt nie podejmuje akcji dywersji lub prób ucieczki. Nic takiego się nie działo. Przez większą część drogi szli w milczeniu. Dopiero przy wejściu na drogę do dworca Elektronik.

- Nie masz dużo czasu. Ty uruchomisz sygnał alarmowy a ja poprowadzę ich przez tunel.

- Wiesz przecież, że kto przejdzie przez tunel, ten bezwarunkowo zginie- jakby ogarnięty wątpliwościami wstrzymał na chwilę marsz.

- Oto przecież chodzi, żeby pozbyć się ich wszystkich.

- Ty zginiesz razem z nimi...

- Tak naprawdę nie żyję już od dawna. Teraz stanie się to jedynie bardziej oczywiste niż przedtem. Jestem gotowy. Zrozum to.

- Nie dam sobie rady.

- Posłuchaj co teraz zrobisz. Gdy już wejdziemy wszyscy, ty pójdiesz na dworzec. Znajdziesz tam trotyl. Uruchomisz lokomotywę i wrzucisz ładunki do kotła z wodą. Włączysz silnik i opuścisz pokład przed wjazdem w góry. Wybuch powinien zatarasować duży fragment tunelu.

- Nie będzie już wtedy odwrotu.
- Już teraz nie ma odwrotu. Słuchaj. Później pójdziesz na bagna. Jest tam nie-naturalna wypukłość. Tam ukryty jest włącznik - tutaj urwał. Stali już przed budynkiem dworca. Tłum bezradnie stał na torach, na zsypie, gdzie kogo rzuciło.
- Wydaj rozkazy.
- Wszyscy byli mieszkańcy Miasta zobowiązani są opuścić je. Drogę wskaże je upoważniony przeze mnie Elektronik. Osoby, które podporządkują się nie doznają bolesnych sankcji. Wykonać.

To nie fizyczna siła - ani cyborga ani Elektryka, nie zmusiła ich do tego by ruszyć na pewną śmierć, to tylko wyćwiczony odruch podporządkowywania się liderowi. Zagrożenie było gdzieś daleko, niemal nierealne. Poddać się zawsze komuś innemu czuli się bezpiecznie. To była siła konformizmu. Bez zastanowienia szli wzdłuż torów ku tunelowi, przez który rzecz jasna nie mieli prawa przejść żywi. Pochód zamykał cyborg, któremu jako zwykłej maszynie nie zależało ani na życiu ani na bezpieczeństwie ani na wyrównaniu rachunków.

Nasz bohater nie czekał długo by zrealizować plan kolejarza. Wpadł do budynku stacji kolejowej. Wywracał wszystko w poszukiwaniu trotylu. Znalazł. Teraz ostrożnie, żeby samemu źle nie skończyć. Cholera. Jak działa ta przeklęta lokomotywa. Ach tak. Już pamięta. Teraz sprawnie. Wszystkie czynności zgodnie z procedurą. Przed tunelem skoczyć na zsyp. Udało się. Czekać na wybuch? Nie! Nie ma czasu. Trzeba iść na bagna. Zanim jeszcze zszedł na dno trzęsienie ziemi wywołane eksplozją zachwiało całym Miastem. Oparł się o łopatę, trzeba iść dalej. Na bagnach było jaśniej niż w okolicach huty. Okryte były drobnymi roślinami, dlatego konary drzew nie przysłaniały światła księżyca. Z odległości kilkunastu metrów dojrzał nierówność na tafli bagna i wtedy zatrzymał się.

- Boże! Przecież to bagno... Nie można tutaj nic odkryć. Jedna warstwa zostanie zastąpiona nową. Jakikolwiek wysiłek nie ma najmniejszego sensu. To już koniec. Teraz na prawdę nie wiem co robić. Zamknął oczy z rezygnacją. Objął myślami miasto, potem góry aż dotarł do białych przestrzeni na horyzoncie swojej świadomości. I wtedy przed oczyma pojawiły się litery. KOP.

Wbił szpadel w nierówność. Bagno stawiało niespodziewany opór. Oczywiście! Lodowy deszcz który padał od rana przesiąkł do bagna i skuł je na dobre. Owszem, przebijanie się w głąb ziemi będzie piekielnie trudne, ale wykonalne. Przebijał się głębiej i głębiej. Zdawało mu się czasami, że trafia do innej przestrzeni. Przed oczyma migały mu kolorowe plamy i lśniły jasne punkty. Za każdym ruchem łopaty powiększała się rana na jego ramieniu. Nie myślał teraz o tym. Teraz był tylko mechanizmem do wykonania głębokiego dołu. Trafił ostatecznie na coś metalicznego. To włącznik? Nie. Za duże. Na tej głębokości grunt zaczynał się robić ruchomy, o wiele mniej zmrożony niż na powierzchni. Pociągnął mocno za metaliczny szkielec. To jakieś żarty. Zamiast wysokiej technologii switcha na dnie bagna spoczywała maszyna z kulkami - z kolorowego kauczuku, niektóre przezroczyste z zatopionymi gwiazdkami, inne plastikowe opakowania z małym przedmiotem w środku. Pamiętał jak chłopcy

z sąsiedniego bloku oszukiwali takie maszyny wkładając do nich złotówki sprzed denominacji. On nie miał nawet takich pieniędzy-był więc wykluczony z zabawy. Przypomnił sobie o monecie, którą zabrał mapowemu. Włożył zakrwawioną rękę do kieszeni - faktycznie była tam nadal. Właśnie wykrwawia się na dnie bagna w wyludnionym mieście. Co mu zależy. Wylosuje sobie kulkę. Włożył monetę do automatu i przekręcił kurek. Mechanizm zgrzytnął i do podajnika potoczyła się jedna z kulek. Była to jedna z czerwonych osłonek. Spodziewał się, że znajdzie w środku breloczek do kluczy albo małego matchboxa. Nic z tych rzeczy. Wewnątrz tkwił mały metaliczny przedmiot. Już chciał wrzucić kulkę w błoto, gdy uświadomił sobie, że to jest właśnie włącznik, którego szuka. Elektronik opowiadał o konspiracji w przemycie urządzenia do miasta. Nie można było znaleźć dziwniejszego sposobu. Wziął głęboki oddech. Schował urządzenie do kieszeni. Odbił się od dna, mocno wbił się palcami w krawędź wykopu i wrócił na powierzchnię ziemi. Stracił zbyt dużo czasu na kopanie tego przekłętego dołu. Musiał uruchomić alarm przed świtem. Był pewny, że nie dożyje kolejnej nocy. Na plaży było znacznie zimniej niż w zagłębieniu. Prawe ramię zwisa bezwładnie. Idąc pozostawia po sobie czerwony szlak. Wbił martwe oczy w blaszaną skrzynkę z komputerem sterującym pracą wiatraków. Organizm zaczął się buntować. Sylwetka zbliżała się coraz bardziej poziomemu piachu. Jeszcze tylko kilka kroków. Czasami przestawał cokolwiek widzieć. Wydawało mu się też ze piasek wciąga go z powrotem pod ziemię. Powróciło to trudne do opisanie uczucie walki z utratą świadomości, którego znajomość była jego wątpliwym wyróżnieniem. Otworzył wreszcie drzwiczki do komputera. Wnętrze oświetlały błękitne i zielone diody. Intuicyjnie rozumiał, że element należy umieścić w pustym otworze przypominającym te na karty płatnicze w bankomatach. Diody zapaliły się wszystkie jednocześnie a potem zgasły. Ustał również szum skrzydeł wiatraków. Rażony myślą o awarii zamarł z przerażenia. I wtedy usłyszał odgłos prądu elektrycznego. Spojrzał w górę. Na skrzydłach kolejnych wiatraków zapalały się czerwone reflektory, tak intensywne, że wydawało mu się iż świeci nad nim tysiąc słońc. Światło nabrało większej wyrazistości gdy skrzydła zaczęły wirować z ogromną prędkością, i tak oto kończyła się jego walka. Siedział oparty o cokół wiatraka. Tak. Teraz mógł odpocząć. Ale czy zobaczył statki nadpływające z zachodu? Na to pytanie już nie umiem odpowiedzieć.

Agnieszka Łebska

„Przystroję szafę w zielone liście”

Moja szafa powstała z jesionowego drzewa.
Jesion musiał być bardzo dorodny,
ponieważ słoje, które zaznaczyły
swoją obecność na drzwiach szafy,
są duże i piękne
Na sęku, który kokieteryjnie spogląda
w moją stronę,
być może kiedyś powiesiłeś
ociekający słońcem płaszcz,
a sam siadłszy w cieniu drzewa
myślałeś, że las gra Chopina
Moją szafę, przystroję w zielone liście.

Maria Magdalena Grzesińska

Talizman

Początek lat 60-tych XX wieku. Tego czasu sięga moja najwcześniejsza, lub jak kto woli, najstarsza pamięć. Podwórko przy jednej z głównych ulic Wejherowa - miejsce, gdzie, dosłownie, przyszedłem na świat i gdzie spędziłem moje dzieciństwo i młodość.

Była to swoista enklawa oddzielona wysokim, pomalowanym na zielono parkanem. Przestrzeń wtedy ogromna, dziś po latach nie wydaje się już tak duża.

Nasze podwórko podzielone było na dwie części. Pierwsza, na której stały domy mieszkalne, pokryta była brukiem. Pod koniec tygodnia zmiatało się go, polewało wodą i wtedy przybierał, przygotowany na niedzielę, odświętny wygląd. Do głównego, stojącego przy ulicy piętrowego, pokrytego szarym tynkiem, domu, przylegały dwa inne. Były tej samej wysokości, ale z czerwonej cegły. Połączone razem tworzyły charakterystyczną „podkowę”. Do mieszkań na piętrach prowadziły dwie osobne klatki schodowe. Lokale na parterze także miały samodzielne wejścia. Za częścią mieszkalną znajdował się rozległy plac, pokryty czarnym ubitym piachem, główne miejsce naszych dziecięcych zabaw. Ograniczony był budynkami gospodarczymi. Od strony południowej stał chlew z mieszczącym się nad nim strychem. Za nim znajdowały się wychodki. Dla każdej rodziny osobny. Wchodziło się do nich po dużym, nakrytym grubymi deskami szambie. Na końcu była stolarnia pana Alfonsa, naszego sąsiada. Po przeciwnej stronie posesji stał duży, piętrowy budynek. Była w nim wspólna pralnia, szereg chlewów a nad nimi strychy. Prowadziły do nich zewnętrzne drewniane schody przechodzące w ciągnący się wzdłuż całego budynku, również drewniany, balkon. W dni deszczowe wieszano na nim świeżo upraną bieliznę. Za chlewami, nieco schowany, był śmietnik - wolna przestrzeń, ograniczona niewysokim murkiem, miejsce, na którym składowano wszelkie odpady. Ze względu na fetor i wszechobecne, zwłaszcza w lecie, mimo regularnego posypywania wapnem, robactwo, nie wolno było nam na śmietniku przebywać. Z tyłu podwórza znajdował się jeszcze oddzielony płotem duży ogród, ale o dziwo nie był on w centrum naszego zainteresowania.

W tamtych czasach podwórko nasze zamieszkiwało 6 trzypokoleniowych rodzin. W każdej kilkoro dzieci, wszyscy prawie rówieśnicy. W zabawach byliśmy więc samowystarczalni. Do dyspozycji mieliśmy gumową piłkę, długi sznur odcięty od linki do suszenia bielizny, wystrugane kije, płaskie kamienie i najważniejsze - nasze małe, ale bogate w niezliczone pomysły na dobrą zabawę, dziecięce głowy!

Mała między nami różnica wieku sprawiała, że dobrze rozumieliśmy się. Nie było bójek, większych zatargów czy kłótni. Swoje problemy rozwiązywaliśmy zawsze sami. Nasze mądre mamy nie wtrącały się w nieliczne i błahe konflikty. W naszej dziecięcej podwórzowej społeczności panowała demokracja, tolerancja i równouprawnienie, których mogliby się uczyć od nas dzisiejsi politycy.

Jak wyglądaliśmy? Jak większość dzieci w czasach gomułkowskiej komuny - szaro-bure, skromne ubranka. Z rana, jak całe nasze ciała, czyste. To nic, że kolana i łokcie, rzadziej inne części ciała, pokryte były, będącymi w różnym stadium gojenia się, większymi lub mniejszymi zadrapaniami czy guzami. Uniwersalna wtedy jodyna była zawsze pod matczyną ręką.

W co się bawiliśmy? Odpowiedź na to pytanie przekracza rozbudowaną wyobraźnię dzisiejszego buszującego w komputerze rówieśnika. Nie nudziliśmy się nigdy! Były to głównie gry ruchowe. Wygrywała „w cuglach” zabawa w „chowanego”. Było to naturalne - tak jak naturalną była liczna na naszym podwórku ilość pomieszczeń, zakamarków, zagłębień, gdzie bez trudu mogło wcisnąć się małe ciało. Wszystko to sprawiało, że mimo, iż było nas sporo, bawiąc się godzinami chowaliśmy się zawsze w nowych miejscach.

Kto pamięta dziś różnorakie gonitwy: *samoloty, berek, gąski uciekające do domu przed złowrogim wilkiem, ojca Wirgiliusza, który uczył swoje dzieci, czy wypowiedanie wojen poszczególnym państwom* (jedyna nasza militarna gra - choć bez atrybutów żołnierskich). Był *lisek, który chodził koło drogi, mieliśmy haftowaną chusteczkę, budowaliśmy mosty dla pana starosty*. Chłopaki równie dobrze jak dziewczyny skakali na skakance i w klasy. Wszyscy znakomicie grali w dwa ognie.

Nawet deszcz był nam niestraszny. Wręcz przeciwnie. Jak dobrze było stać bosy w kałużach nad wystającymi z dachu, z wysokości pierwszego piętra rynami i przyjmować litry wody na głowę!

Wieczorami, gdy o dziwo uchodziła z nas energia, siadaliśmy, zajmując kilka stopni, na prowadzących do naszego mieszkania szerokich drewnianych schodach. Potrafiliśmy zaśmiewając się serdecznie do łez, grać w *głuchy telefon, czerwony pomidor, sprzedawać po kawałku zabita przez naszego ojca świnia*. Zbieraliśmy fanty i pysznie bawiliśmy się przy ich wykupywaniu.

Zimy, w latach mojego dzieciństwa, bywały bardzo śnieżne. Jako małe dzieci nie mogliśmy jeszcze sami chodzić na Kalwaryjskie Góry. Robiliśmy więc na podwórku naszą, z której bezpiecznie, do woli, zjeżdżaliśmy na czymkolwiek i jak długo się dało! Aż nasze mamy musiały nas zamienionych w bałwany, sino-bładych z wychłodzenia, na czas ewakuować do domu. Przemoczone buty i ubrania wierzchnie musiały, suszone przy piecach, wyschnąć do następnego dnia.

Nie wolno nam było bawić się na ulicy, a było na niej tyle ciekawych rzeczy! Płot był wysoki ale miał przecież poprzeczne belki, na których można było stanąć. Miał też dziurki po sękach, przez które można było dużo zobaczyć.

I tu pojawia się najczęstsze w najmłodszych moich wspomnieniach zwierzę. Nie pies, kot czy króliki - ich czas nadejdzie później. Nie chomik czy świnka morska - inni przedstawiciele gryzoni buszowały od czasu do czasu po chlewach, piwnicach czy śmietniku wywołując natychmiastową ostrą reakcję dorosłych. Nie były to rybki ani ptaszki. To był KON! W moich dziecięcych wspomnieniach jest stale obecny.

Wisząc na naszym płocie obserwowaliśmy uliczny ruch. W czasach, gdy motoryzacja w Polsce dopiero raczkowała i samochód był niedostępnym dla zdecydowanej większości społeczeństwa dobrem, najczęstszym pojazdem naszych dróg był zaprzężony w konie wóz.

Miejsce obserwacji mieliśmy przednie - mieszkaliśmy przy jednej z najruchliwszych ulic miasta. Prowadziła do mieszczącej się przy sąsiedniej ulicy składnicy węgla, dalej na miejskie targowisko i przylegającej do niego rzeźni.

Przyglądaliśmy się koniom różnej maści. Z reguły zadbane, dobrze odżywione, czyste. Ciągnęły przeróżne wozy, w zależności od przewożonych towarów, czy pory roku. Początkowo przeważały wozy z kołami drewnianymi, obitymi wokół grubą blachą, hałasujące po ulicznym bruku od wczesnego rana. Potem stopniowo zastępowały je wozy z cichymi kołami na gumowych oponach. Teraz tylko stukot końskich kopyt, uzbrojonych w podkowy, po ulicznych kamieniach, zdradzał obecność pojazdu na drodze. Były wozy szerokie na dwa konie i węższe, dla jednego. Były drabiniaste i mające boki zbudowane z dwóch lub trzech szerokich i unoszonych do góry desek, co ułatwiało wysypianie przewożonego towaru. W zimie konie ciągnęły masywne sanie, najczęściej wysłane skórą, bezszelestnie sunące po ubitym śniegu. Z nozdrzy końskich unosiły się kłęby pary wodnej a w powietrzu rozlegał się wesóły dźwięk przyczepionych do uprzęży dzwonków.

Prawie zawsze obok siedzenia woźnicy stał bat. Nie mogę jednak odnaleźć w swojej pamięci żadnego przypadku użycia go przeciw zwierzęciu. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek ktoś z nas widział furmana uderzającego konia. Ten „zespół” był zawsze zgodny, bez zbędnych czułości, ale też pozbawiony jakiegokolwiek agresji ze strony człowieka. Pamiętam za to często powtarzające się takie obrazki - koń ciągnący wóz pełen węgla, zapierający się kopytami o kamienie bruku i woźnicę idącego obok, aby w ten sposób, choć w niewielkim stopniu, ulżyć swojemu „wspólnikowi”.

Dwa dni w tygodniu, we wtorki i piątki, od strony Gowina, Szemuda, od wczesnego rana naszą ulicą ciągnęły wozy na miejskie targowisko. Gospodarze wieźli na rynek zwierzęta i worki z płodami ziemi - z sadów, ogrodów i pól. Na placu targowym konie cierpliwie, godzinami, oczekiwały na sfinalizowanie zaplanowanych transakcji. W czasie deszczu stały w kałużach błota. W zimie okryte były derkami. Zawsze na łbach podwieszano im worki pełne owsa.

Rynek tętnił życiem. Na straganach usytuowanych w pobliżu „końskiego parkingu” handlujący rozkładali swój drobny towar. Gospodynie sprzedawały tam wszelaki drób, żywy i zabity - już oskubany, z krwią na czarlinie lub bez.

Można było, na funty, kupić masło uformowane w przemyślnych foremkach. Był miód i jajka, bezpiecznie przywożone na targ w tekturowych walizkach lub koszach pełnych sieczeni bądź zawinięte każde w osobny kawałek gazety. Kaszubskie gospodynie odliczały kupowaną ilość jajek - *ein, zwei, drei...* Na rynku można było dostać przeróżne metalowe przedmioty: części rowerowe, śrubki, gwoździe... także odzież - to nic, że wszystko używane, bo przecież przez kogoś poszukiwane i komuś przydatne.

Konie były też obecne na naszym podwórku. Na ich ślady natrafiliśmy już w najwcześniejszych latach. Z rodzeństwem i dziećmi sąsiadów penetrowaliśmy wtedy nasze liczne podwórzowe chlewy. Na ścianie jednego z nich odkryliśmy długie kamienne żłoby. Nad nimi żeliwne, umocowane w murze koła. Dowiedzieliśmy się, że w czasach jeszcze międzywojennych do pomieszczeń tych wprowadzano na odpoczynek konie. Bryczkami przywoziły one na zakupy „do miasta” lub na spotkanie do moich dziadków rodzinę z okolicznych kaszubskich wsi.

Jak wszędzie tak i na nasze podwórko również zajeżdżały furmanki z węglem, drewnem opałowym, ziemniakami. Regularnie przyjeżdżał wóz konny po zawartość podwórzowego śmietnika. Były to niezwykle wydarzenia i wszyscy zbiegaliśmy się, aby obserwować skomplikowane manewry zespołu *woźnica-koń-wóz*. W bezpiecznym, ale też odpowiednim do obserwacji miejscu, obieraliśmy powszechną wśród dzieci pozycję „w kucki” i siedząc na piętach przyglądaliśmy się. Nasze duże podwórko nagłe kurczyło się, robiło się za ciasne dla nietypowych gości. Woźnica podejmował wyzwanie i starał się jak najbliżej, tyłem, podjechać do drzwi odpowiedniego chlewu. Konie spokojnie wykonywały powtarzane często manewry. Nie płoszyły ich nasze głośne okrzyki zadowolenia i zachwytu nad zręcznością *duetu furman-koń*. Później, już w czasie wyładunku, chłopcy odważniejsi od dziewcząt, podchodzili bliżej koni. Podziwiali ich mięśnie, kopyta, grzywy, ogony i fby, którymi konie patrząc na nas od czasu do czasu potrząsały, ni to z irytacji, ni to z dumy.

Po przeciwnej stronie naszej ulicy stała kuźnia. Nie raz wymykaliśmy się niepostrzeżenie z podwórka i podchodziliśmy w jej pobliżu. I znowu z naszej pozycji wyjściowej - kucznej, przyglądaliśmy się kowalom. Pracowali osmołeni, w podkoszulkach, owinięci długimi fartuchami. Podglądaliśmy jak rozpalali palenisko, potem długo walili młotami w rozpalone do czerwoności żelazo, hartowali je w zimnej wodzie, formując mozolnie odpowiednią dla danego konia podkowę. Następnie podchodzili do koni, przygotowywali im kopyta i podkuwając je kończyli swój ą ciężką pracę.

Klientów zawsze w kuźni było sporo, ale wszyscy cierpliwie, bez pośpiechu, jakby rytualnie czekali na swoją kolej. Właściciele koni zgromadzeni w grupkach żywo rozprawiali. O czym? Dla nas było to obojętne, nas ciekawiły konie i praca kowali. Niekiedy mężczyźni przenosili się kilka posesji dalej do piwiarni pani Ireny, by tam ugasić a może dopiero rozgrzać swoje emocje.

W pogodne, ciepłe dni z naszego punktu obserwacyjnego na płocie widzieliśmy przejazd rzadziej oglądanego pojazdu - bryczki. Ta była z jasnego dREW-

na i ciągnął ją piękny, smukły i lekko kłusujący rumak. To darzony powszechnym szacunkiem doktor Alojzy Jagalski, dyrektor wejherowskiego szpitala, wieziony był do pracy. Uśmiechał się i na pozdrowienia mijanych po drodze mieszkańców miasta odpowiadał uniesieniem kapelusza i skinieniem głowy.

Wejherowo od zawsze nierozdzielnie kojarzy się z Naszymi Świętymi Górami. Uwielbialiśmy odpusty i to, wstyd się teraz przyznać, nie z powodu przeżyć duchowych ale całej towarzyszącej im oprawy. Na nasze podwórko, na odpust zwany „ładowym” (w święto Wniebowstąpienia) przyjeżdżał wujek z Wielkiego Kacka. Oczywiście koniem zaprzężonym do dużego wozu. Towarzyszył pielgrzymom, wioząc bagaże pątników i ich samych, tych najbardziej utrudzonych drogą. Zarówno zwierzę jak i pojazd byli odświętnie przybrani - wóz młodymi brzoškami a koń kolorowymi wstążkami, pomponami, z zaplecioną finezyjnie grzywą i ogonem.

Wychodziliśmy z naszymi matkami witać przybywające do miasta pielgrzymki. Podziwialiśmy orkiestry grające skoczne marsze i uroczyste pieśni kościelne. Zachwycaliśmy się „kłaniającymi się”, pięknie przystrojonymi fere-tronami. Zawsze też odwiedzaliśmy stragany towarzyszące uroczystościom. Rozłożone pod wzgórzami kalwaryjskimi kusyły różnorodnością odpustowych towarów. Obowiązkowo kupowano nam piłki na gumce, wypełnione trocinami i owinięte w kolorowe, lśniące papierki. Dostawialiśmy wiatraczki, plastikowe trąbki, dziewczynki pierścionki z kolorowymi oczkami a chłopcy pistolety na cympletki i korkowce - drewniane rurki strzelające korkami uwiązany mi na sznurku.

Po powrocie z Gór, z wypiekami na naszych małych buziach, wymienialiśmy się poodpustowymi wrażeniami. Wszystkich jednomyślnie najbardziej fascynowało „witanie się” obrazów. My też tak kiedyś chcieliśmy potrafić! Jako, że „praktyka czyni mistrza” przez kilka poświęconych dni wytrwale ćwiczyliśmy. Tu znowu pojawia się koń i to na biegunach. Nadawał się najlepiej. Nosił mi go na ramionach, potem wywijając nim na wszystkie strony kreśliliśmy w powietrzu zapamiętane przez nas figury wywołując zgorszenie wśród starszych sąsiadek. Te, oburzone biegły do naszych mam. Pan Bóg był z pewnością bardziej wyrozumiały i przebaczył nam naszą gorliwość w dążeniu do spełnienia dziecięcych marzeń skoro już po latach pozwolił jednemu z nas przybrać habit franciszkański i dziś prowadzi go wysoko w hierarchii zakonnej i naukowej pracy biblisty.

Jest jeszcze jeden, namacalny ślad obecności konia w dziecięcych wspomnieniach.

W moim pierwszym albumie wklejone jest jedno z najstarszych zdjęć - duże, czarno-białe. Zrobił je fotograf, który dawno temu odwiedził wejherowski Rynek, noszący wówczas nazwę Placu Armii Czerwonej. Fotografia przedstawia kucyka zaprzężonego do dwukołowego wózka i trójkę małych odświętnie ubranych dzieci - to ja w towarzystwie brata i siostry. Pamiętam jeszcze tajemniczo brzmiące wtedy dla nas imię konika - TALIZMAN.

Nasze życie tworzy nieskończona ilość „chwil”. Są wśród nich te najważniejsze, nieliczne, które zmieniają dalszy przebieg naszego życia. Są też miliony tych zwyczajnych, z pozoru błahych. I właśnie te szare, niepozorne „chwile” złożyły się na moje wspaniałe, szczęśliwe dzieciństwo.

Elżbieta Budnik

„Carpe diem”

Czas płynie jak rzeka,
nigdy już nie wróci to, co było.
Nie bądź jak okręt bez steru,
który dopłynie tam, gdzie go nurt zaprowadzi.

Schwycić los w swoje ręce,
nadaj życiu nowy tor.
Postępuj tak, abyś przed zaśnięciem
był dumny z każdej przeżytej chwili.

Podaj dłoń sąsiadowi,
napisz do kogoś, z kim dawno straciłeś już kontakt
Wydadaj przyjęcie a okaże się
jak wielu masz przyjaciół.

Każdą chwilę przeżyj tak, jakby miała być tą ostatnią.

Sabina Potrykus

Czas

Każdego ranka zauważam
że czas rysuje
swoje szkice
na moim ciele
codziennie dodaje nowe kreski
nieustannie poprawia Stwórcę
czas zdaje się być
moim wrogiem
minuty
złośliwie umykają
w chwilach radości
jakby słuchały serca
co prędko wystukuje rytm uniesienia
a gdy serce zamiera
struchlałe z rozpacz
zdławione w bólu
wtedy
toczą się leniwie
jak krew uwięziona w żyłach
co nie chce płynąć
by nie spotkać złych myśli
ale czas swoimi wskazówkami
zmienia świat
czas sprawia
że wszystko
mogę zmienić na lepsze
przez czas
nic nie jest stałe
dane raz na zawsze
tylko Bóg
co ten zegar
ciągle dla mnie nakręca
aby obudził mnie
o właściwej porze

Hanna Bemke

W stronę krytyki fantomów

Człowiek współczesny zatracił możliwość kontaktu nie tylko z „naturą samą”, lecz także z kulturą w postaci czystej, naturalnej, by nie rzec - kulturą naturą, o ile takowa w ogóle kiedykolwiek istniała. Denaturacja natury, miast wznieść ludzkość na wyższe, bardziej higieniczne stadia rozwoju, doprowadziła do zanieczyszczenia, dekulturacji i alienacji. Opiewana przez apologetów nowych mediów „intertekstualność” w swej praktycznej realizacji okazała się niczym innym, jak siłą unicestwiającą, owocującą nawarstwieniem cytatów, wzajemnych odniesień i w efekcie - nudą. Tekst, gruntownie zdeformowany przez postmodernistów dostarczył giętkiego tworzywa dla reklamowych gier i aluzji; hermeneutyka - została pożarta przez konsumpcję i zastąpiona abstrakcyjną analizą strukturalną bądź obcowaniem z medium - fasadowym, materialnym nośnikiem lub urządzeniem. Dawny *logos* wyparło Logo - skumulowany, prosty i wielokulturowo czytelny odpowiednik.

Obserwowany ów proces jest nie tyle dekompozycją tekstu (łac. *textus* = tkanka, tkanina), co jego rozpadem, rozpuszczaniem, destrukcją w całej objętości tkanki. Komunikacja traci swój linearny charakter, staje się skłębiona, rozgałęziona i bezładna. Pozostające generyczne tworzywo - przędza, bawełniane włókna (wł. *bavella*, niem. *Bavel*, *Bafel*, jiid. *buwel* lub po polsku - bubel) nie przedstawia już większej wartości i nadaje się jedynie do wtórnego przetworzenia. Jest bublelem - fascynującym, bo niedoskonałym przedmiotem, swoistą powłoką, wydmuszką, fantomem. Przypomina groteskowe anatomiczne *écorché* z florenckiego muzeum¹, w których ręka rzeźbiarza-anatoma zawarła w sposób zwięzły skomplikowaną prawdę na temat tego, co naturalne i pełne znaczeń.

W sytuacji, gdy jedynym ratunkiem zaspokojenia rosnącej konsumpcji okazuje się być oferowanie produktów bezwartościowych, w których związek między treścią a formą został definitywnie zatarty, gdy każdy przedmiot nowoczesnego handlu jest potencjalnym bublelem - kicz i tandeta przestają być wyłącznie kategoriami ocennymi. Stają się autonomiczną rzeczywistością, a ich oddziaływanie nabiera charakteru wszechogarniającego informatywnego, tak, iż nie ma już znaczenia, czy tandetność przedmiotu polegać będzie jedynie na wypraniu z treści, czy też na tak doskonałym jego zespoleniu z brandem, iż niemożliwy stanie się epistemologiczny dostęp do prawdy o produkcie (o tym, że atak ma charakter kompleksowy świadczy fakt, że równoległe przy pomocy tzw. *Flavourów* manipuluje się smakiem i zapachem najczęściej spożywanych pro-

duktów). Jak pisze Naomi Klein, autorka głośnej książki „No logo”, ów proces zacierania znaczeń rozpoczął się dawno i trwa równoległe z industrializacją i umasowieniem produkcji, ucieczką od konkurencji cenowej oraz generowaniem zapotrzebowania na odróżnianie wystandaryzowanych i jednakowych produktów za pomocą reklamy².

Zakaźność mediów, zaniepokojonych najwyraźniej wyczuwalną społecznie dezaprobatą dla wytrzebienia przekazu z treści i sklejenia kiczowatej zawartości z semiotycznym „gwałtem przez oczy”, narasta konsekwentnie. Rynek innowacyjnej reklamy anektuje coraz to nowe terytoria - począwszy od wymyślnych etykiet, przez bilbordy, teasery i bannery, na subtelniejszych formach, jak wewnętrzny PR, *brand setting* i *ghostwriting* kończąc, czyniąc je wszystkie nowymi mediami, o jakich nie mógł śnić nawet Marshall McLuhan. Medialne „kreowanie świata” czy podprogowe manipulacje w reklamie, będące jeszcze niedawno przedmiotem powszechnych lamentów, wydają się dziś ledwie igraszka.

Swoistą ciekawostką jest, iż już w latach 30. powstała w USA pierwsza konsumencka organizacja (Consumer Research), stawiająca sobie za cel „naukowe” i obiektywne badania nie natury, lecz właśnie produktów oraz ich jednoznaczny klasyfikację i oznakowanie, w oderwaniu od reklamowych sloganów. Gdzież tam dzisiejszym zblazowanym i hojnie sponsorowanym magazynom konsumenckim do tego niedoścignętego, chociaż, przyznajmy, utopijnego ideału! Jedynie w szczególnie delikatnym i drażliwym, a jednocześnie kosztownym i finansowanym z publicznej kasy sektorze, jakim jest ochrona zdrowia, można mówić dziś o załączkach obiektywnej oceny i informacji (*Health Technology Assessment*).

Tandeta i fasadowość towarów nie kłóci się bynajmniej z możliwością zarabiania na ich sprzedaży, o czym przekonuje istnienie całego szeregu wyspecjalizowanych korporacji w rodzaju Fischer Trading Group, skupujących zewsząd buble i towary słabo rotujące. W końcu bubel, zgodnie ze swoją definicją to tylko „towar odrzucony ze względu na istotne wady jakościowe, bądź też bezwartościowy, nietrafiony”, zalegający długo na półkach sklepowych („półkownik”), co czyni zeń idealny obiekt promocji. Namacalnym i znanym każdemu przykładem z polskiego podwórka mogą być np. świetnie prosperujące księgarnie „taniej książki”, w której żywota swojego obok banalnych powiastek kobiecych dokonują nie czytane dzieła św. Tomasza z Akwinu czy Martina Heideggera.

Proces postępującej fantomatyzacji i eksterioryzacji rzeczywistości, opisany trafnie przez S. Lema³ (co prawda w związku z eksperymentami narkotycznymi) czy w innej wersji przez J. Baudrillarda (w „Precesji symulaków”⁴) nie jest bynajmniej wymysłem epoki nowoczesnej. Jest to raczej immanentna cecha kultury, przejawiająca się w ciągłej tranzycji od znaków o charakterze naturalnym („oznaki”) do znaków o organizacji wyższej (przykładem jest wynalezienie druku i związana z nim wizualizacja znaków pierwotnie oralnych). Naturalną kolejną rzeczą jest zatem przesunięcie siedziby fikcji ze sfery semantyki

w sferę nośnika (*medium is the message*, jak powiedział McLuhan). Nigdy jednak w historii niezbywalne residuum w postaci szczątkowego *signifiant* (np. oralności) nie zostało tak drastycznie amputowane, nigdy też nowa organizacja nie zyskiwała tak ścisłej konsystencji, jak to widzimy obecnie w przekazie marketingowo-reklamowym. Słusznie zauważa Naomi Klein, że „marka przybrała formę kulturowej gąbki, nasiąkającej treścią i dostosowującej swoje znieczulające działanie do oczekiwań otoczenia”⁵.

Wymownym symbolem współczesnej fantomatycznej konsumpcji jest supermarket meblowy IKEA, w którym znajdujemy atrapy książek, pozorne przedmioty codziennego użytku, a nawet gotowe aranżacje całych pomieszczeń. Są one co prawda zbudowane z rzeczywistych sprzętów, jednakże nie naśladują żadnej rzeczywistej przestrzeni, lecz jedynie konfiguracje istniejące w wyobraźni kupujących. Przechadzka po IKEI przypomina wizytę w muzeum współczesnej historii naturalnej: każdy ma możliwość fizycznego obcowania z eksponatami dokumentującymi aspiracje socjalne przeciętnego kowalskiego. Co ciekawe, również oferowany produkt jest wyimitowany - w powszechnej opinii meble te uchodzą za tandetne i mało solidne.

Po iluzjonistyczno-fantomatyczne hochsztaplerstwo równie często jak copywriterzy i handlowcy sięgają obecnie artyści i wrogowie Logo. Deformacja znaku - czy to jako działanie twórcze, czy też prowokacja kulturowa, ukazuje jego fasadowość (tylko to, co fasadowe, pozbawione, kośćca można zdeformować) i - na powrót - umożliwia rozdzielenie tego, co sklezione. Takie semiotyczne *détournement*, rozpoczęte pod koniec lat 60. przez Guy Deborda i sytuacionistów polega na wyjmowaniu przedmiotów i przekazów z ich pierwotnego kontekstu, co pozwala radykalnie zmieniać ich sens⁶. Zauważmy, że tę samą poetykę stosują artyści, by przywołać tu sięgającego do narodowych lęków i mitów Tomasza Kozaka (słynne „Wprowadź mnie do głębszych nocy”), czy przetwarzającego *per analogiam* elementy popkultury i tradycji Z. Libere (Auschwitz z klocków Lego, instalacje czy fałszywe numery czasopism, równie dobrze mogące być uznane za formę komizmu!). Fascynacja manekinami, będąca motywem licznych dzieł, od „Traktatu o manekinach” Brunona Schulza, przez somnabule Rene Marguite'a i fotografie Natalii Jagodzińskiej, na słynnych plastynatach von Hagena kończąc, znane każdemu popkulturowe instalacje Andy Warhola, czy wreszcie ukazujące się we Wrocławiu „fantomatyczne” pismo Rita Baum - oto garść innych, nieco chaotycznych przykładów kulturowej fantomatyżacji i manipulacji „codziennymi” znaczeniami przedmiotów. Podobnych przykładów z różnych obszarów życia można by podać jeszcze wiele, dlatego warto na koniec przytoczyć kilka „praktycznych” zastosowań opisywanych zabiegów w obrębie medycyny (to mój prywatny kaprys).

Jak wiadomo, patologia, będąca centralną kategorią sztuki lekarskiej, jest niczym innym, jak imitacją fizjologii, nieudolnym naśladowaniem życia w odpowiedzi na zmienione warunki zewnętrzne. Swoistym destylatem tej wyzwolonej z okowów homeostazy nieporadności jest nowotwór, uważany przez starożytnych za *error loci* - „błąd miejsca”, nieprawidłową implantację prawidłowo-

wej tkanki, a więc element sztuczny, mimo iż zbudowany z komórek przypominających prawidłowe. W semiotyce lekarskiej - jest to nauka zajmująca się opisem i klasyfikacją objawów chorobowych - od dawna znane są zjawiska symulacji (w tym słynny zespół Münhausena) i dysymulacji oraz tzw. maski chorobowe, oznaczające przebieg danej choroby pod nietypową wiązką objawów. Zaburzenia kognitywnej percepcji mapy ciała po odjęciu kończyny prowadzić mogą z kolei do tzw. bólów fantomowych czy wręcz wrażenia nieistniejących kończyn (skutek reorganizacji map korowych i braku hamowania). Wiele zaburzeń psychosomatycznych (zespół jelita drażliwego, przewlekłego zmęczenia, uporczywy świąd odbytu) ma również fantomatyczny charakter - trudno znaleźć w nich zarówno czynnik wywołujący, jak i uchwytne klinicznie objawy choroby.

Od dawna „imitację życia” zwykło się leczyć - zarówno lekami, jak i imitacjami leków, działającymi dzięki efektowi placebo. Placebo odpowiada, według różnych szacunków, za kilkanaście do kilkudziesięciu procent wszystkich wyleczeń, obecnie zaś nabiera coraz większego znaczenia w związku z rozwojem i komercjalizacją rynku badań klinicznych, w których jest koniecznym odniesieniem w porównaniach skuteczności leków. Popularne ostatnio pojęcie „leków generycznych” oznacza z kolei „fantomowe” farmaceutyki produkowane (zazwyczaj pod podobnie brzmiącą nazwą) po wygaśnięciu patentów na leki oryginalne (polskiej wersji doczekała się już nawet słynna viagra). W tym jednak przypadku „odmarkowanie” odbiło się na rynku leków czkawką - wg szacunków WHO, co najmniej 7 proc. preparatów znajdujących się w światowym obrocie to nielegalne podróbki i imitacje⁷.

Inny, niezmiernie fascynujący „fantomatyczny” rozdział nowej medycyny to implantację ciał obcych do wnętrza ciała ludzkiego, od banalnych protez poczynając, przez sztuczne narządy, tkanki i biochipy, na transplantologii i cyborgizacji kończąc⁸ (American Association for Advancement of Science poświęciło zresztą temu zagadnieniu jeden z paneli dorocznego sympozjum w lutym 2005 r.). Innowacyjne techniki diagnostyczne, takie jak wirtualne obrazowanie czy planowanie zabiegów oraz edukacyjne (Virtual Human Project, nowe manekiny treningowe) już dziś posługują się matematycznie sformalizowanymi *écorchés*; z drugiej zaś strony na całym świecie prowadzi się badania mające na celu stworzenie kompletnego modelu człowieka i choroby na poziomie redukcjonistycznym (proteomika, metabolomika i wiele innych).

Prototypowa konsekwencja przyrostu informacji, obserwowana w świecie kultury i sztuki w postaci przechodzenia od znaków naturalnych do modeli, fantomów i podróbek jest, jak widać, tendencją uniwersalną, dotyczącą w zasadzie każdego aspektu działalności ludzkiej.

Piotr Biegasiewicz

1 - A. Wieczorkiewicz, *Muzeum ludzkich ciał, słowo/obraz/terytoria*, Gdańsk 2000, ss. 161-167 oraz Ameisenowa Z., *Problem modeli anatomicznych „écorchés” i trzy statuetki w Bibliotece Jagiellońskiej*, Warszawa 1962.

- 2 - N. Klein, „No logo”, s. 23-26.
3 - S. Lem, Summa technologiae
4 - Baudrillard itd.
5 - Klein, s. 35
6 - Tamże, s. 300
7 - „Tabletka fikcji w pigułce” [w:] Tygodnik „Wprost”, Nr 1106 (08 lutego 2004).
8 - „Cyborgizacja i implanty. Ciało ludzkie na progu nowego milenium”, Michał Kreczmar
(<http://www.cyber.com.pl/archiwum/6/7.shtml>) - autor podaje również sporo interesujących odnośników do stron nt. rzeczywistych badań nad cyborgami

Pierwszy dzień Jesieni

Jesteś moją
gwiazda przewodnią,
spełniasz moje życzenia,
moje prośby.
Wszystkie chwile
szczęścia i radości
mijają bezpowrotnie
lecz trwają w nas
są balsamem
w szarej codzienności
Tym razem
Księżyc przytył
okrągły wisi
nad ziemią
nad nami,
Srebrem rzuca
Na obłoki
tworzy
przepiękne widoki.
Wiatr wieczorny
delikatnie
listkami szeleści
drzewa szumią
cudowne opowieści.
Życie nasze
jak jesień
przemija
Lecz coś w nim
Z błysków lata
Jeszcze pozostało

Krystyna Labuda

Boska ekologia

- Nie mogę wam zagwarantować, że zostaniecie zbawieni - zaczął prorok, stojący na głównym rynku przy fontannie. - Musicie zmienić swoje dotychczasowe podejście do życia i religii. Oczywiście słońce nie spadnie wam na głowę, a księżyc pozostanie na swoim miejscu, przynajmniej przez jakiś czas, i wszystko się z dnia na dzień nie skończy. Musicie wierzyć. Wiara to dobra rzecz, ale pamiętajcie, że świat będzie się kończyć. Może nie z dnia na dzień, ale powoli, systematycznie. Był czas, kiedy Bóg mówił wam o miłości i przebaczeniu, mówił... nie wnika teraz kto słuchał, kto wyciągał wnioski. Armagedon i wielki zbiorowy proces musi poczekać. Teraz nie to jest ważne. Świat może się skończyć szybciej niż to było zapisane w boskim planie końca. Dziś od ludzi Bóg oczekuje czegoś więcej, czegoś co pozwoli zachować...

W pół słowa nieskończona jasność spłynęła z nieba i objęła ludzi stojących na placu. I zszedł z nieba anioł, aby poprzeć słowa mesjasza i wyjawić nowy boski plan. - No dobra, żeby wszystko było jasne, oprócz tego, że nie macie się mordować, chodzić do łóżek z cudzymi partnerami i takie tam, dochodzi wam jeszcze pakiet przykazań ekstra pod wspólnym tytułem: Będę miłował ziemię moją jak moją własną...

...jako moją własną dupę! - zachrypiał głos za plecami tłumu. Wtedy wszyscy wykonali w tył zwrot. Na małej chmurce siedział po turecku mały człowieczek z długą siwą brodą i wielkimi okularami przeciwsłonecznymi na oczach. Tłum gapił się na niego, lecz ten nie rozbudował swojej wypowiedzi, ale ledwo dostrzegalnie pstryknął palcami. Wtedy niewiadome skąd pojawiły się półnagie panie, które roznosiły schłodzone piwo i broszurki zachęcające do dbania o środowisko. Nikt nie pamięta kiedy Bóg odleciał, wszyscy wiedzą, że od patrzenia w górę boli szyja. Anioł dał kilka relikwii do miejscowej parafii i też ulotnił się po kryjomu. Najdłużej został prorok, który nie miał ani chmurki ani skrzydeł, więc musiał łokciami przepchnąć się przez tłum. Kiedy piwo się skończyło, a półnagie kobiety odeszły, plac opustoszał. Tu i ówdzie leżały rzucone niedbale broszurki i potłuczone szklanki po piwie.

Pomimo tego, że prorok, anioł i Bóg podróżowali od miasta do miasta i promowali nowe przykazania, to większość ludzi pozostawała na nie głucha. Z drugiej strony nie ma co się dziwić, bo sprawa była faktycznie odrobinę krępująca.

Lukasz Bieszke

Spis treści

Bogdan Tokłowicz - <i>Drodzy Czytelnicy</i>	1
WYNIKI KONKURSU	2
Eugenia Drawz, Henryk Połchowski - <i>Wstęp</i>	3
Piotr Skurzyński - <i>Miguel i laleczka</i>	7
Katarzyna Sawicka - <i>Mój czas</i>	17
Izabela Jagła - <i>Ten czas należy do nas</i>	18
Dominika Nowak-Adamczyk - <i>Adriatyk</i>	19
Dominika Nowak-Adamczyk - <i>W południe</i>	23
Tadeusz Buraczewski - <i>Edisonek</i>	24
Regina Adamowicz - <i>Myśli to słowa</i>	30
Piotr Biegasiewicz - <i>5 IV 2007 r.</i>	31
Izabela Krawczyk - <i>Czas należy do nas</i>	32
Aneta Fuhrmann - ***	34
Karolina Rost - <i>Historia Pauliny</i>	35
Karolina Rost - <i>list</i>	46
Marcin Pelcer - ***	47
Agnieszka Łebska - <i>Historia o chłopcu, który udał się w podróż...</i>	48
Maria Magdalena Grzesińska - <i>„Przystroję szafę w zielone liście”</i>	75
Elżbieta Budnik - <i>Talizman</i>	76
Sabina Potrykus - <i>„Carpe diem”</i>	81
Hanna Bemke - <i>Czas</i>	82
Piotr Biegasiewicz - <i>W stronę krytyki fantomów</i>	83
Krystyna Labuda - <i>Pierwszy dzień jesieni</i>	87
Łukasz Bieszke - <i>Boska ekologia</i>	88
Spis treści	89

